

XXXVIII OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

XXXVIII OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 24 LISTOPADA 2023 R.



ORGANIZATORZY:

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Lęborskie Centrum Kultury Fregata

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

PATRONAT HONOROWY:



MIECZYŚLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI

* * *

*w przecięciu błyskawic
narodził się mój świat
samotnie łatwiej odnaleźć
iskry gwiazd
gdzie spadanie liści
w cichym konaniu drzew*

Mieczysław Stryjewski
6 VII 1971



Нірвоныт, 2023

Amelia Janiška, 16 let

JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Wojciech Boros

Małgorzata Borzeszkowska

Tomasz Fopke

Daniel Odija

Jerzy Stachurski

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Mateusz Dudek (Gdańsk)

W KATEGORII POEZJI:

I miejsce – nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Justyna Katarzyna Zychła (Żary)

II miejsce – nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku
Katarzyna Zając (Ozimek)
Milena Gojny-Zbierowska (Chorzów)

W KATEGORII PROZY:

I miejsce - nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Urszula Sikora (Gdańsk)

II miejsce - nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego
Andrzej Chodacki (Parczew)

NAGRODY SPECJALNE

Nagroda Burmistrza Miasta Lęborka dla twórcy z ziemi lęborskiej
Maksymilian Halas (Krępa Kaszubska)

Nagroda Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Adela Kuik-Kalinowska (Słupsk)

Nagroda Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Dominik Bębas (Poznań)

Wyróżnienia Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Hanna Makurat-Snuzik (Gdańsk)
Mateusz Klebba (Rumia)

NAGRODA GRAND PRIX MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

MATEUSZ DUDEK

TKANKI MIEJSKIE

Nazywam się Artur F. Liberbaum i jestem Specjalistą do spraw Tkanek Miejskich w rodzinnej firmie „Liberbaum & Synowie” z siedzibą przy ulicy Bohaterów Westerplatte siedemnaście w Lęborku, w odnowionej kamienicy. Piastuję to stanowisko od ponad dwudziestu lat.

Lubię swoją pracę, pomimo że bywa przytłaczająca i stresująca... zapewne jak większość nowoczesnych profesji. Weźmy choćby niedawny przetarg, ogłoszony przez Urząd Miejski: „Naprawa, diagnoza oraz wdrożenie terapii behawioralnej dla obręczy koszykarskiej na boisku przy Liceum Ogólnokształcącym nr 2”. Po trzech tygodniach od złożenia oferty okazało się, że „Liberbaum & Synowie” przedstawiła najkorzystniejszą cenę w postępowaniu przetargowym. Tym samym podpisaliśmy umowę, a ponieważ zrealizowaliśmy już kilka podobnych projektów na terenie miasta, którymi zarządzałem, i tym razem ojciec wyznaczył do pokierowania pracami w Lęborku właśnie mnie.

Podczas gdy robotnicy spawali uszkodzony słup koszykarski i cerowali rozerwaną siatkę rozpiętą na koszu, ja słuchałem monologu zrozpaczonej obręczy – wisiała trzy metry nad ziemią na jednej śrubie, z której co rusz kapły rdzawe krople, chociaż dzień był pogodny; w ogóle nie padało. „Więc to nie deszcz ani smar, ani też żaden wyciek... Ona po prostu płacze” – pomyślałem gorzko.

– Przychodzą co wieczór – skarżyła się obręcz i poskrzypywała cichutko. – Siadają na ławkach, piją, palą i drą się wniebogłosey. Po całym dniu obrywania piłkami, wysłuchiwania wrzasków, gwizdków i dzwonek... mam prawo do odpoczynku... a dzieciaki tylko rzucają we mnie piłką i rzucają! Nikt ze mną nie rozmawia, nikt nie szanuje! Ostatnio słyszałam, jak jeden powiedział, że nienawidzi koszykówki, że cały wuef jest do bani. Chciałam mu pomóc, naprawdę chciałam. Kiedy rzucał, wyginałam się, nachylałam... wszystko robiłam tylko po to, żeby trafił do kosza. Nawet nie podziękował! A na koniec nauczyciel zagroził, że jeśli dalej będę im pomagać, to mnie zdemontują i oddadzą na złom! Dłużej tak nie mogę, po prostu nie mogę...

Zgodnie z przyjętą praktyką wdrożyłem natychmiast postępowanie z kategorii pod tytułem *Elementy terapii behawioralnej dla obręczy koszykarskich – poziom eksploatacji: 6¹*, na które składały się: gruntowne zmodernizowanie elementów kosza, wszycie nowej, wzmocnionej siatki, wymiana śrub oraz ich naoliwienie, zabezpieczenie antykorozyjne, dwukrotne piaskowanie wraz z pokryciem obręczy i konstrukcji emulsją odporną na ścieranie, wypoziomowanie słupa i montaż nowej tablicy. Początkowe kroki były rzecz jasna zabiegami natury estetycznej, jednakże – jak dowodził pionier tej metody, doktor Harwey, i o czym przekonałem się osobiście – należało wykonać je w pierwszej kolejności, niezwłocznie po przybyciu na miejsce i wstępnym zdiagnozowaniu problemu. Czynności te dla procesu ozdrowieńczego „mojej” obręczy okazały się strzałem w dziesiątkę – zresztą już sam Harwey po przeprowadzeniu wywiadów z ponad dwustoma obręczami określił, że „specyfika ich świadomości (a więc i problemy, z którymi się mierzą), są zawsze takie same (z nielicznymi wyjątkami) i biegną zgodnie z ruchem wskazówek zegara wewnątrz obręczy. Na przestrzeni czasu w wyniku uderzeń piłką dochodzi do mikropęknięć i innych mikrourazów, które finalnie prowadzą do zaburzenia postrzegania swojej roli przez obręcz koszykarską w szeroko rozumianej tkance miejskiej”².

Po zastosowaniu kroku pierwszego, czyli po poprawie wyglądu obręczy zauważyłem solidne zmiany w jej zachowaniu: zaczęła chętnie współpracować z młodzieżą, odbyła oczyszczającą rozmowę z wuefistą, a w jej trakcie nastąpiło również symboliczne poklepanie słupa mocującego obręcz; aktu tego dokonał sam dyrektor szkoły, który w czasie rychłego apelu na boisku wyraził w obecności wszystkich uczniów uznanie dla odświeżonej prezencji kosza; to odświeżone wydarzenie miało niebagatelne znaczenie dla dalszego toku sprawy. Odnowiona obręcz zebrała także przychylne komentarze od ławek, śmietników i ogrodzenia, i choć nie byłem tego świadkiem, a jedynie słyszałem o tym w jej późniejszych relacjach, to wiem, że wyrażenie tej aprobaty było kluczowe dla szczęścia obręczy i powodzenia projektu, któremu przewodziłem. Zdarzało się bowiem od czasu do czasu, że w momencie poddania

- 1 Autorska metodyka psychoterapeutyczna amerykańskiego psychiatry i Specjalisty do spraw Tkanek Miejskich dla okręgu Chicago dr. Thomasa Lee Harweya, opracowana w roku 1988 i z powodzeniem stosowana w kolebce koszykówki, a więc za oceanem, od lat 90. W roku 2011 praca została uhonorowana nagrodą im. Corneli B. Wilbur, przyznawaną przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Studiów nad Traumą i Dysocjacją (*The International Society for the Trauma & Dissociation – ISSTS, USA*).
- 2 Thomas Lee Harwey, *Elementy terapii behawioralnej dla obręczy koszykarskich. Poziom eksploatacji od 1 do 10, tom VI, poziom eksploatacji: 6*, str. 226 (i dalej) wraz z ilustracjami.

działaniom terapeutycznym konkretnej tkanki miejskiej – inne miejskie organy buntowały się, a bunty te potrafiły rozlać się niepostrzeżenie po całym organizmie miasta... Pamiętam doskonale jedną taką sytuację sprzed lat – najpierw pretensje zgłosiły zdewastowane przez wandali alejki parkowe, wkrótce dołączyły do nich sygnalizatory dla pociągów dalekobieżnych, jedno torowisko tramwajowe i trzy miejskie szalety. Groziło to paraliżem Lęborka i gdyby nie szybka reakcja mojego ojca i starszego brata, bez wątplenia doszłoby do międzymiastowego strajku nie tylko miękkich, ale i twardych tkanek miejskich... Szczęśliwie w prowadzonej przeze mnie sprawie obręczy nic podobnego nie miało miejsca – rozpoczęta procedura terapeutyczna przyniosła zamierzony efekt wstępny, bo infrastruktura towarzysząca obręczy wyraziła wyłącznie swój aplauz. I tak oto wraz z władzami liceum uznaliśmy krok pierwszy terapii za pozytywnie zamknięty.

Przystąpiłem zatem do etapu drugiego: zleciłem podwyższenie ogrodzenia i załatanie dziur w jego siatce; była do tego stopnia wyniszczona, że przełazili przez nią lokalni amatorzy nocnych zabaw i ulicznych biesiad. Wspólnymi siłami – nie zliczę, który to już raz reputacja i kontakty ojca okazały się nieodzowne... – wymogliśmy na Komendzie Powiatowej Policji w Lęborku zorganizowanie w pobliżu boiska szkolnego kilku nocnych patroli rotacyjnych. Po tygodniu policyjnej opieki obręcz przyznała, że czuje się bezpieczniej i tylko raz ktoś próbował rzucić w nią butelką, ale nowe ogrodzenie było na tyle wysokie, że oprawca miał spore problemy z celnością i ostatecznie zabłądził bezsilnie, na czym świat stoi, po czym rozpląnął się w mroku.

Po odnowieniu urody obręczy i zapewnieniu jej bezpieczeństwa skupiłem się na terapii behawioralnej – przez kolejne dni ogniskowałem się na rozmowach z terapeutyzowaną tkanką miejską, analizach jej stanu ducha i konstruktywnych wnioskach. I tu spotkało mnie pierwsze zaskoczenie: otóż obręcz zapytała, dlaczego musi beczynnienie patrzeć na porażkę jednej z drużyn, na rozpacz trenera i łzy zawodników – wszak boiska szkolnego sporadycznie używała półamatorska drużyna koszykówki i rozgrywano na nim mecze o punkty w ligach okręgowych i niższych.

– Dlaczego wszystko mam zostawiać przypadkowi, dlaczego mam nie mieć prawa nikomu pomóc? Przecież ci ludzie poświęcają życie na treningi, wylewają litry potu, robią to kosztem swojego życia rodzinnego i towarzyskiego... aja co? Nie mogę się lekko nagiąć, schylić, nic nie mogę! Dlaczego?! Bo to tylko zwykli amatorzy, hobbyści, tak?!

Wyjaśniłem jej delikatnie, że liczą się ludzkie umiejętności – niezależnie od tego, czy ktoś jest sportowcem zawodowym, czy nie. I z zapalem potwierdziłem:

– Bez dwóch zdań musisz pozostać bezstronna. Powiem więcej: twoja bezstronność jest absolutnym fundamentem jakości widowiska i rozgrywek!

I tu kolejna niespodzianka: o ile bowiem obręcz przyznała mi rację, o tyle po chwili namysłu dodała, że nie rozumie, czemu o wygraniu bądź przegraniu meczu decydują w równym stopniu umiejętności, jak i łut szczęścia, bądź jego brak...

W momentach jak te, gdy jesteś zaskakiwany i musisz reagować na bieżąco, na nic zda się wiedza podręcznikowa – wystudiowana i wyuczona. Ojciec często mawia, że w naszej profesji jest wiele przestrzeni na improwizację, która wynika z doświadczenia – ze swoistego „czucia” tkanki miejskiej. Świetnie pamiętam sceny z dzieciństwa, kiedy ojciec na rodzinnym spacerze, nieproszony przez nikogo, podchodził spontanicznie do drzewa przy chodniku, obejmował je i zagadywał: „Co słyhać? Jak się masz?”. I stał tak – przytulony do pnia, zadumany... Czasami coś go rozbawiło, innym razem z oburzeniem potrząsał podbródkiem. Cierpliwie czekaliśmy obok, najczęściej mama opowiadała nam wtedy fragmenty jakiejś dawno słyszanej bajki, a gdy ojciec kłonił się drzewu, dziękował, życzył dobrego wzrostu, silnych korzeni, mnóstwa deszczu, dopiero ruszaliśmy dalej. Potem tłumaczył nam, że tkankę miejską trzeba poznać od podszewki – jej kłopoty, obawy, frustracje, nadzieje i radości. Pewien czas później na zlecenie urzędu miejskiego zorganizował urzędnikom szkolenie plenerowe. Do końca życia nie zapomnę tej sceny: oto Bulwarem nad rzeką Łebą idzie ojciec w garniturze, a za nim, gęsiego, tabun urzędników – niby gąski za matką. Teren ogrodzony, ale mieszkańcy tłoczą się na Moście Staromiejskim i na drugim brzegu Łeby, każdy chce zobaczyć, co też ten stary, poczciwy Liberbaum znowu wymyślił... Niektórzy gapie kręcą głowami, jakby niezdecydowani, inni biją mu brawo.

Ojciec idzie na czele pochodu wyprostowany, przyjaźnie macha kapeluszem, kłania się drzewom, pozdrawia rzekę i czule przemawia do znaków drogowych. Z jego ust słowa płyną jak melodia; brzmi to, jakby człowiek zespolił się z miastem – jakby zrosli się w jedno życie; w życie pulsujące skórą, drewnem i betonem. „Dzień dobry, ukochany Lęborku! Dziękuję, że przetrwałeś... Dziękuję, że jesteś!” I Lębork odpowiada człowiekowi szumem koron... Jedna z sosen rzuca mojemu ojcu pod nogi garść igieł, a rzeka Łeba – ku wielkiej frajdzie tych samych gapiów – tworzy efektowny wir w samym środku swego nurtu; jej kropelki lśnią w słońcu jak uszczęśliwione łezki. Lębork tętni pod butami, pod dłońmi pręży się i gniew, i mruczy przy tym jak kocur głodzony po grzbiecie.

Ojciec ustawia urzędników w równym szpalerze. Z każdym po kolei zbliża się do drzew i krzewów. Pochyla się, głaszcząc po korze, po gałązkach i prawie jak zapamiętałą, zaślepłą modlitwę powtarza w kółko: „Jak się dziś czu-

jesz? Czego ci potrzeba?”. I gdy tak konwersują, człowiek i tkanki miejskie, naraż gdzieś nieopodal krzyk rozszalaenia wstrząsa okolicą. Ludzie na moście wyciągają szyje, kierowcy hamują gwałtownie, wyskakują z samochodów i rozglądają się gorączkowo: „Kto to tak szłoch w naszym pięknym mieście?”.

Ojciec przepycha się przez skupisko urzędników, którzy otoczyli znak na Bulwarze. Niebieska tarcza przedzielona jest na pół: po lewej stronie widnieje symbol białego roweru, po prawej człowiek trzymający dziecko za rękę. To znak C-16/13, wyznacza on drogę pieszym i rowerzystom.

Znak ów zawodzi, skamle tak głośno, że jacyś ludzie aż zatykają sobie uszy!...

Ledwie kilkanaście minut zajęło ojcu doprowadzenie znaku do względnej równowagi. Pamiętam, że stałem niedaleko, ale musiałem wspiąć się na barierkę, żeby cokolwiek dojrzeć przez tłum urzędników, który wówczas wydawał mi się bawelnianą ścianą monstualnych garniturowych pleców i zaporą włochatych czupryn.

– Co cię trapi? – Ojciec pogłaskał znak po krawędzi tarczy.

– One, one, one! Są złe, niedobre, straszne!

Ojciec rzucił groźnie spojrzenie na krzaki śnieguliczki białej. Kołysały się niewinnie zaraz za balustradą oddzielającą skarpe od traktu pieszo-rowerowego.

– Myśmy nic nie zrobiły, panie Liberbaum. To histeryk! – zawyły chóralnie krzewy.

– Powiedziały, że nigdy nie urosną i zawsze będą takie małe. Że, że, że... Że nikogo nie obchodzę, bo każdy wie, gdzie ma iść, a gdzie jechać na rowerze. Groziły, że jak podrosną, to mnie zasłonią, oplotą i wszyscy o mnie zapomną! – wyrecytował znak niemal jednym tchem i ponownie się rozszłochał.

Trzymałem się mocno barierki, patrzyłem w dziecięcym przerażeniu, ale i zachwycie na plastyczność ojcowskiej mimiki: jego twarz do niedawna uśmiechnięta, serdeczna, pełna blasku miłości do miasta nachmurzyła się w jednej chwili – usta ściągnęły, oczy zapłonęły gniewem trudnego do ukrycia zaskoczenia połączonego z rozzarowaniem.

– Przycinać regularnie do wysokości metra, nie nawadniać przez trzy dni, nie odchwaszczać przez tydzień – rzucił ostro ojciec gdzieś w przestrzeń, jakby stał tu sam, lecz kątem oka wyłowilem z tłumy ogrodnika.

Ten skinął ojcu i po chwili pojawił się na Bulwarze z niewielką piłą teleskopową na wysięgniku.

Na nic zdały się jęki, lamenty, zawodzenia śnieguliczki białej, a trzeba powiedzieć, że próbowała wszelkich forteli – w pewnej chwili nawet wysunęła przed siebie pąki kwiatów i wyszeptwała błagalnie:

– To wszystko może być twoje! Zetnij nam kwiaty i postaw sobie w salonie, a przez wiele tygodni będziemy ci pięknie śpiewać melodie, jakie tylko zechcesz!

Ogrodnik trwał jednak niewzruszony. Pod czujnym okiem ojca zdegradował śnieguličkę do upokarzającej wysokości balustrady. Balustrada skwitowała to jedynie chichotem.

– A nie mówiłam? – dodała jeszcze uszczypliwie. – Pyskujesz, to masz! – pouczyła okaleczoną śnieguličkę. – Ciesz się, że stary nie kazał cię wyrwać z korzeniami!

Ojciec zarządził staranne wyczyszczenie znaku C-16/13, podkreślił przy tym wpatrzonemu weń kordonowi urzędniczemu, jak ważną rolę w przestrzeni miejskiej pełni ten znak: zapobiega wypadkom, a wręcz jest „strażnikiem porządku publicznego”.

A ponieważ Bulwar nad Łębą posiada oświetlenie, ojciec zalecił, by jedna z latarni – ta stojąca najbliżej znaku – pozostała włączona również w ciągu dnia, tak aby funkcjonalność i waga C-16/13 były maksymalnie wyeksponowane. I tak oto po dziś dzień, gdy przechadzam się z rodziną nad rzeką, z satysfakcją i radością dziecięcych wspomnień przypatruję się tej latarni, która świeci ciągle – niezależnie od pory doby. I patrzę na dumny i zadowolony znak, który kłania się pieszym i rowerzystom na Bulwarze. Spoglądam i na śnieguličkę białą, ta jednakże milczy uparcie, od tamtego momentu bowiem, kiedy przycięto ją drastycznie, nikomu nie posyła pozdrowień ani ukłonów; już nigdy do nikogo się nie odezwała.

Tak więc – bazując na doświadczeniu i na wspomnieniach z dzieciństwa, jak i na „czuciu” tkanki miejskiej – odpowiedziałem obręczu koszykarskiej na jej pytanie o łut szczęścia, który decyduje o zwycięstwie lub przegranej. Odpowiedziałem tak, jak czułem – bez zbędnej nonszalancji doświadczonego specjalisty. Moja konstatacja wybrzmiała następująco: owszem, często o wygranej lub przegranej przesądza ślepy traf, lecz sama loteria to z reguły za mało, żeby wygrać – bardziej liczą się umiejętności. Czy drużyna amatorów byłaby w stanie zwyciężyć w meczu z profesjonalistami? Istnieje prawdopodobieństwo, że tak, choć mieści się ono w granicach błędu statystycznego. Szczęście sprzyja wszak lepszym.

Na koniec – zgodnie z zaleceniami wybitnego Harweya – wspiąłem się na drabinę i spreym spryskałem delikatnie obręcz. Z trzech dostępnych wariantów zapachowych obręcz wybrała morską bryzę, bo – jak wyznała mi nieco zawstydzonym szeptem – zawsze chciała doznać bałtyckiego podmuchu jakby słonego pocałunku...

Pomny przeżyć sprzed lat, gdy tak niewiele dzieliło Łębork od między-miastowego strajku tkanek miejskich, zrobiłem obchód boiska przy liceum

i zaaplikowałem spreyową mgiełkę także ławkom, śmietnikom i ogrodzeniu. Dzięki temu uniknąłem scen zazdrości, oskarżeń o faworyzowanie i reszta wyposażenia boiska poczuła się doceniona i tak samo ważna.

– Gdy będzie pan nad morzem, proszę je od nas pozdrowić i przekazać, że pięknie pachnie! – pożegnano mnie wzruszająco.

Pomachałem jeszcze drzewom, wykonałem niezbędną dokumentację fotograficzną i moja praca przy Liceum Ogólnokształcącym numer dwa w Lęborku dobiegła końca. Zostało tylko potwierdzenie odbioru z Urzędu Miejskiego, a potem wystawienie faktury i... trzydziestodniowe oczekiwanie na płatność.

Zaparkowałem przy Bohaterów Westerplatte siedemnaście i nawet nie musiałem pytać, gdzie jest ojciec: aleja lip przywitała mnie szelestem, a gałęzie wyciągnęły się do szyldu „Liberbaum & Synowie” niczym ręce. Wszedłem więc do firmy.

Na parapecie dwie pelargonie w donicach tak ożywczo debatowały nad smakiem i aromatem nowego nawozu – cieszyły się z jego niskiej kwasowości i chwaliły, że cały dzień czują wilgoć w korzonkach – że nawet mnie nie zauważyły.

Ojciec siedział w gabinecie zwrócony twarzą do okna. Położyłem mu dłoń na ramieniu. Drgnął, lecz nic nie powiedział. I tak trwaliśmy bez słowa: spoglądaliśmy na drzewa, krzewy i ławki w parku. Lębork chłonał nas, a my jego. Byliśmy jedno, staliśmy się miastem. Kości i beton. Dusza i drewno. Trawa i skóra... Wiatr jak dziecięcy oddech poruszał koronami lip tuż pod błękitem nieba. „Dzień dobry, ukochany Lęborku. Dziękuję, że przetrwałeś. Dziękuję, że jesteś!”

I MIEJSCE
NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA
JUSTYNA KATARZYNA ZYCHŁA

KOT SZYMBORSKIEJ W DOMU STARCÓW

nagle znaleźli się w strefie odpływów; szelest blistrów,
gra w bingo, popołudnia w swetrach – z ich perspektywy
liczą się właściwie dobrane okulary, wysokie poduszki,
weneckie lustra za którymi Bóg nasłuchuje jak ojciec.

na nocnych stolikach zdjęcia dzieci. słodkie wnuczęta
w pastelach. w nocnej ciszy kaszel i modlitwy. życie tu
przemyka cichutko; przeprasza za strącony kubek, płamę
na prześcieradle. niektórzy źle znoszą strefę odpływów;

nie pociesza deser, spacer w ogrodzie. uwierają gordyjskie
węzły w pamięci. wolniutko ruszają po swoich orbitach,
ufając bezgranicznie różańcom świętym, bohaterom
ulubionych seriali. jednak lubią, gdy zaprzyjaźniony kot,

przekracza próg. tu ma dłoń, „*co kładzie rybę na talerzyk.*”
i sprawia, że nie chodzi już „*na obrażonych łapkach.*”
zasypia na tych, lub innych kolanach. uśmiechają się nawet
tacy, którzy nie lubią zwierząt. ukradkiem ocierają łzę.

TRATWA

częściej niż kiedyś snią się telefony stacjonarne,
ludzie na dworcach żegnający bliskich, witający bliskich.
snią się ogrody, karłowate drzewa brzoskwiń,
ławki na których rozmawiają ze sobą obcy ludzie.
snią się sąsiedzi pilnujący mieszkania,
którzy podlewają kwiatki. pożyczają sól i cukier.
sny bywają różowe jak koci język, albo niebieskie
jak kurtka siostry, która zmarła mając tylko sześć lat.

w niektórych snach buduje się tratwę z odpadów,
wykorzystując tysiące plastikowych z butelek.
zupełnie, jak w tym programie o ludziach,
którzy nagle zdali sobie sprawę, że niebo
zaczyna niebezpiecznie pękać. odruchowo
osłaniają głowę.

na ekranie wyświetla się wyspa. cruzoe rozpala
ognisko, smaży rybę. plastik kapie w popiół. popiół
tężeje jak beton. dawno wycięto drzewa.
czasem, zazdroścę ludziom, którzy nie snią.

ZAWSZE MIEĆ CZAS

pogubiłam twoje słowa. nie pamiętam twarzy.
mówiłeś coś o kwiatach akacji. teraz na nie patrzę
jak na ósmy cud świata – głęboko wdycham zapach.

mówiłeś coś o ptakach, o słońcu uwięzionym
w skrzydłach. mam przed sobą gałąź z gniazdem.
żałuję, że nie ma w nim piskląt. przeoczyłam.

piszę do ciebie, że jesień; kasztany i mimozy,
rybki liści w odcieniach ochry, źdźbła w pajęczynach.
wiewiórka o krok i sroka odświętna, jak na koncert.

mówiłeś coś o rzece. zmieniła się, chociaż to tylko
rzeka – wikliny urosły ponad moją głowę. wędkarze
kładą palec na ustach; nie płoszyć ryb i myśli.

wchodzę w obecność jak do jasnego pokoju; mówiłeś:
nie przegap deszczu, jaskółek – lecz nade wszystko,
nie przegap miłości. nie przegap człowieka

COROCZNE TASOWANIE LIŚCI

wystarczyła noc, by liście posypały się jak śnieg.
na opadłej, zapomnianej gruszcze żerują osy;
metodycznie kęs po kęsie znika słodki miąższ.
kot ociera się o pień; najmniejszy szelest
podrywa go do skoku na ewentualną zdobycz.
kępa marcinków przyciąga wzrok.

ziemia po tych wszystkich porodach bierze
w ramiona dojrzałe kosze owoców, pucułowate dynie,
ciężkie winogrona, twarde, kapuściane głowy. także
najdelikatniejsze łądźki; bezszelestnie grzebie
naiwne motyle, wojownicze żuki, przebiegłe
szerszenie – niepoliczone, maleńkie śmierci,
którymi ogród usłany jest po brzegi.

wpisana w przemijanie dosłownie i metaforycznie
nawijam na palec sprężynkę dzikiego wina, daremnie –
bronię się przed nostalgią.

II MIEJSCE
NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO
RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

KATARZYNA ZAJĄC

PSALM ŻAŁOBNY

Pod łopianowy dach jesień przybędzie łagodnie.
Kiedy zgaśnie nocna lampka, zasną przytuleni do siebie.
Nad drewnianą kołyską będzie pochylał się wiatr,
uciszając płacz dziecka. Pobielony dom porośnie wrzosem,
okrąży go klucz żurawi, by zamknąć drzwi przed zimą.

Łopianowy dach będzie rósł, aż dosięgnie futra polarnej,
śpiącej niedźwiedzicy. We troje będą śnić, że jadą wielkim
wozem przez pszeniczne pola, pełne złotych kłosów.
Dziewczęta w ślubnych sukniach i wiankach zatańczą
wśród jabłoni. Ukołysani księżycowym blaskiem zasną,

jakby stalowa szarańcza nigdy nie spadła na wioskę:
zapomną o spalonych domach i sadach, ciałach leżących wzdłuż
drogi jak stosy popsutych lalek, porzuconych w drodze walizkach.
Dojadą do wrót nowego domu. Pod łopianowym dachem zapadnie
w lodowaty sen przysypany gruzem pluszowy niedźwiadek,

w którego wsiąknęła krew.

OPOWIEŚĆ O DOMU

jesień już Panie a ja nie mam domu

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki

Ta opowieść będzie miękka jak płowe futro sarny.
Nim nacisnę migawkę, zobaczę w jej oczach, że wracamy
do domu na skraju lasu. Od brzegu rzeki jak ulotny cień
wędruje za nami pies, któremu nadamy nowe imię.

Las będzie miał barwę latte macchiato z kawiarni,
gdzie spędzaliśmy wieczory. Między nami dwa kubki na stole,
zapach roztartych liści mięty, powidoki splecionych cieni
na poruszanej wiatrem firance. Trzeba rozdmuchać

tlący się żar, rozpakować wiklinowe kosze pełne
grzybów i jabłek, przygotować przed zimą ciepłe pledy i koce.
Poruszać się lekko na palcach, by trzaskiem gałęzi
nie spłoszyć sarny. Nim po obrazach namalowanych

akwarelami zostanie rozmazany i niewyraźny kadr. Jakby nic
nie zdarzyło się poza snem, szelestem liści, umykającym
w głąb lasu światłocieniem. Jakby jedyną wyraźną rzeczą były
schody, którymi podążamy w labiryntach betonowego świata,

wciśnięci niezdarnie w wąską klatkę.

IMIĘ

Jesteś cykorią podróżnik,
królową zapomnianych poboczy,
polnych dróg i bezdroży,
które prowadzą donikąd.

Na drugie imię zwą cię – niepokój.
Jesteś wciąż w drodze,
w biegu zostawiasz ślady na piasku,
pustkowiu i ugorze.

Płynie w tobie cygańska krew
kolorowych ptaków, które każdej nocy
tańczą w ogniu.

Jesteś cykorią podróżnik –
i siejesz ziarna w pylną drogę.
Jesteś cykorią niepokój –
i wleciesz nad sobą ciemne chmury.

Jesteś cykorią błękitną –
nad tobą unosi się spokojne niebo,

po niedawnej burzy.

PLANETA ZIEMIA

Kiedy opowiadam siebie,
mam bosc stopy i przepaskę na biodrach.
Budzę się wśród kropli rosy
i zaspanych motyli.

Twój dotyk jest sierpniową łąką,
nad którą nadciąga mgła.
I nie ma mnie, i nie ma ciebie –
są nasze oddechy, i bezkres
spieczonych ciał.

Moje piersi nabrzmiewają mlekiem.
Tego lata wydam na świat
dmuchawcowe dzieci –
armię trenujących fruwanie nasionek.

I ulecą daleko –
opuszczą bezpieczną planetę łąkę.

Nie pomogą uparcie szeptane zaklęcia –
przeciw wielkim epidemiom,
plagom i wojnom.

I będziemy patrzeć –
a wiatr zepchnie spadochronową armię
poza znaną krawędź świata:

lekką opadną
na jałową ziemię,
gdzie poznają zarazę i ogień.

II MIEJSCE
NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO
RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

MILENA GOJNY-ZBIEROWSKA

ŻONA TURYSTY

odeszła od niego lata temu już
choć trwa starannie wyprasowanym obrusem
co tydzień świeżą pościelą
codziennym obiadem, niedzielną szarlotką

falszuje dowody na brak miłości pytając jak minął dzień
budzi się codziennie coraz mniej i zasypia coraz bardziej
uporczywie podtrzymuje przy życiu związek czysto frazeologiczny
uporczywie podtrzymuje w pamięci wzorce behawioralne
gwarantujące brak zmian i brak objawów życia
sączy się, jak mijane przez niego miasteczka
a on definiuje świat poprzez swoje potrzeby
lampka wina poszerza jego poznawcze kompetencje więc mówi:
ciekawe, lewą rękę masz zawsze zimniejszą od prawej
mówi, a jakby wycinał jej serce

SERCE

serce to organ umieszczony w naszej klatce
piersiowej
serce to mięsień, który nigdy nie
odpoczywa
nie słyszę bicia twojego serca
być może jednak nigdy nie żyłeś naprawdę

mój ojciec też nigdy nie odpoczywał
protony wypuszczał spod powiek gdy patrzył zorzą
znane są przypadki niedźwiedzi polarnych
które ruszały na polowanie za ofiarą zwietrzoną

z odległości ponad 60 kilometrów
mój średni krok to metr
odległość pomiędzy uwielbieniem
a pogardą to jedna klisza
pstryk

LIPCOWA SOCZEWKA

jej drobne usta kontrolowały każdy przejaw otwarcia
pęknięcia i zabliznienia
każde morze fantazji i niepewności
fale wstrętu i przyływy goryczy
dłoń prawa rozmasowywała
dłoń lewą broniąc jej zaciśnięcia się w pięść
w zakaz wjazdu, w buławę, w znak pokoju
prawy kciuk rytmicznie przesuwiał
napiętą skórę śródrezcza jak ojciec rozprostowywał mapę gdy
podróżowali do Czarnogóry maluchem w piątkę

mężczyźni wokoło mieli oczy skupione na granicy jej spódniczki
wybitnie kusej, wybitnie marzącej o śmierci
kobiety wokoło miały oczy skupione na granicy jej spódniczki
niebezpiecznie kusej, niebezpiecznie haczącej ich pozycje w stadzie
ludzie potrzebują mieć swoje miejsce w stadzie i na cmentarzu
lipcowe słońce wpadało przez lizaj szyby
powołując zapach kurzu z podłogi do rozdrzanych nozdrzy
soczewka jej oka jak pryzmat rozszczepiała
światło na kolorową wiązkę
czerwony poruszał się najszybciej

PORANNA ZMIANA NA ODDZIALE

do godziny 16 jestem drzewem
moje gałęzie łapią wszystkie chore myśli sinych ludzi
daję świadectwo uziemienia pokazując korzenie zdziwionym
niezdefiniowanym
z i bez rozpoznania
tym co myślę, że są na chwilę, a zostaną na zawsze
oni brzydzą się rodzinną ziemią pełną minerałów

do 16 nie mrugam oczami, żeby nie nadać emocjonalnego wyrazu
żeby nie być posądzonym o ocenę czy nietolerancję
albo o jakiś stosunek do kogoś, z kimś
powieki jak prześcieradła rozwieszane na polu targane wiosennym wiatrem
ukrywają niebezpieczne skojarzenia

do 16 płyną słowa, obrazy bez ram, okna bez framug,
pomieszczenia bez drzwi
czasem ciekną jak żółta gęsta woda po awarii rurociągu
czasem potykają się o spojrzenie kogoś na sali

po 16 krzesła się wychładzają jak beczynne ręce
cierpienie które nikogo nie obchodzi jak guma pod ławką zostaje do jutra
bezpieczna cisza wypełnia gabinet, nie jest ani mądra ani głupia
gęsty, ciemnobrązowy zapach zaburzeń rozrzedza się jak palona brzoza



litvanyt, 2022

Amelia Jomiriska, 15.1.

I MIEJSCE NAGRODA STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

URSZULA SIKORA

AGRESTÓWKA Z MIODEM

To była taka chatynka w małej, maluteńkiej wsi. Wieś była tak mała, że Dyrekcja Dróg i Autostrad pożałowała nawet na kupno tablicy z jej nazwą. Dlatego, kiedy się jej szukało, mieszkańcy mówili „pięć minut jazdy od Turkowa Małego, za rozwidleniem rzeki”.

Więc ta chatynka otoczona była płotem, który rozsypywał się jak zapaliki. Mieścił się tu zarośnięty ogródek z kilkoma krzaczkami agrestu, jabłonią i krzaczkiem róży, który jakoś nie chciał nigdy zakwitnąć, a wchodząc do chatynki trzeba było uważać, żeby dachówka nie spadła na głowę. Było jednak coś, co tę chatkę wyróżniało spośród innych podobnych jej chatek: dwumetrowa kamienna rzeźba Jezusa Chrystusa w ogrodzie, który błogosławił jej mieszkańców wzniesioną ręką. Właścicielka chaty, Babula Ciżka, była z niej bardzo dumna.

– Może my i biedne, może i róża nie kwitnie, ale jak Jezusa Chrystusa postawili w dziewięćdziesiątym czwartym, tak stoi – mówiła z dumą. – Bo jakby Jezus Chrystus nie stał, to by się można było martwić, a jak stoi, znaczy, że i ja dobrze robię, i chatynce nic się nie stanie, i żaden szatan nie przyjdzie.

Do Babuli Ciżki w dni świąteczne, a czasami i w soboty, przyjeżdżał syn, Włodzimierz Kolanko. Przywoził jej sery, masło i, jak Bóg da, mięso na rosół, a ona sadzała go przy stole i karmiła. Lamentowali przy tym oboje na ciężki los swój, bo ani jednemu, ani drugiemu dobrze się wcale nie żyło. Babula w końcu jednak stawiała na stole agrestówkę na miodzie i mówiła:

– Dobrze, niedobrze, Jezus Chrystus jak stoi i będzie stał, to wszystko będzie jak trzeba.

Wypijali za to jednego, potem kolejnego, a lamenty się kończyły. Zarówno Babula, jak i jej syn, byli bowiem wieloletnimi alkoholikami, którzy agrestówkę na miodzie czcili wcale nie mniej od Jezusa Chrystusa. Nigdy jednak by się do tego nie przyznali, bo po pierwsze nie znali wcale takiego określenia jak alkoholizm, a po drugie, sądzili, że to boska opatrność im tak serca i gar-

dła rozgrzewa na poświęcone toasty. Gdy już popili, siadali przed telewizorem w pokoju na twardych fotelach z PRLu i oglądali, jak leci: Familiadę, Jeden z dziesięciu, a czasami Rolnik szuka żony.

– Ty byś może do takiego programu poszedł Włodziu, ile to już od śmierci Anulki minęło... – wzdychała Babuła, a Włodzimierz nie odpowiadał, tylko pogłasniał pilotem.

A może i bym poszedł, myślał wtedy, ale która by mnie, starego trumniarza, zachciała? Ty matulko nie wiesz. Tacy jak ja to tam pośmiewisko, nie tylko bym żony nie znalazł, ale i dziewczyny ze spożywczo-monopolowego miałyby używanie. Pewnie by powtórki puszczały i się chichrały, jak to one.

Żona Włodzimierza odeszła nagle i niespodziewanie. Matce powiedział, że zmarła w innym kraju, na nartach, że się nie dało ciała sprowadzić, ale tak naprawdę uciekła ze sprzedawcą zmywarek. Czy mógł ją za to winić? Może i powinien coś zauważyć, gdy kupiła trzecią zmywarę do kuchni, oczywiście, że powinien. Ale nie zauważył, bo wtedy właśnie splajtował zakład, a on cały swój wolny czas spędzał u matki przy agrestówce. Zresztą i tak im się nie układało, nie kochali się od kiedy Anka drugi raz poroniła. Nawet przestali wtedy rozmawiać. Dwa malutkie groby na skraju lasu przypominały im o tym, że coś poszło nie tak. Że Bóg ich pokarał. Anka przesiadywała tam, na skraju, każdego dnia coraz dłużej – śpiewała piosenki, nucila, coś opowiadała. Raz Włodzimierzowi wydawało się nawet, że całuje nagrobki.

Nie wiedział, jak z nią o tym rozmawiać, jak jej powiedzieć, że to nie jej wina, że tak po prostu musiało być i że kocha ją nadal tak samo. Zresztą nie wiedział wcale, czy ją kocha. Wzięli ślub szybko, po upojnej nocy spędzonej w stodole sąsiada. Ona miała duży brzuch i czerwone policzki, a on był jedynym kawalerem w okolicy. Wszyscy wiedzieli, że tak to się musiało skończyć.

Więc on zamiast podejść, pomóc jej może, dotrzymać towarzystwa w niedoli, zamknął się w zakładzie. Tam przynajmniej wszystko było jasne: deski miały być polakierowane, pracownik opieprzony, a klej codziennie wymieszany. To był świetny interes, przynajmniej na początku. Małomówny ojciec Włodzimierza kupił zakład „Trumnex” za grosze od Warszawiaka, a potem zostawił w spadku. I faktycznie, do końca lat dziewięćdziesiątych zakład przynosił zyski. Piły cięły nieustannie, pracownicy szlifowali i kleili, ciężarówka jeździła z towarem wte i wewte. Jezusa Chrystusa wtedy matce postawił w ogrodzie, bo po śmierci ojca smutna była i osowiła, w dodatku po operacji biodra do kościoła nie mogła chodzić.

– A wszyscy mi będą zazdrościć takiego Jezuska, nawet sąsiady z Turkowa pewnie go widzą, taki wielki jest, a co! – Z zadowolenia aż pryskała śliną. – Nawet agrest lepiej rośnie, toto białe z niego zniknęło, i Bóg da, że róża zakwitnie za rok, zobaczysz.

Ale róża nie zakwitła, ani tego roku, ani następnego. Przyszedł za to kryzys leśnictwa, a drewno podróżowało tak bardzo, że ceny trumien musieli podnieść o trzysta procent. A że zbiegło się to z uruchomieniem kolejnej linii dostaw tanich trumien z Białorusi, to nikt już polskich, drogich od Włodzimierza Kolanko nie chciał kupić. Jak chcieli tanią trumnę, to kupowali sosnową od Białorusinów, a jak chcieli ekskluzywną, to ze Szwajcarii. Nieważne, że szwajcarskie były identyczne, jak te polskie – oni chcieli mówić, że dziadka pochowali w solidnej, szwajcarskiej trumnie i tyle.

Zakład splajtował, Anulka odeszła, a Włodzimierz został sam w ceglanym domu zaraz obok nieczynnego zakładu pełnego pustych trumien. Próbował jeszcze sprzedawać pojedyncze egzemplarze przez ogłoszenia w gazecie, a potem przez internet, ale zupełnie mu to nie szło. Zamknął się w domu i zaczął pobierać rentę, bo jak kiedyś stracił dwa palce przy pile, to mu się należało z urzędu. Oglądał mecze piłki nożnej, które komentował na cały głos i przeklinał, bo w końcu nikt mu nad głową nie stał. Pił agrestówkę od mamy, a czasami jeździł po okolicznych wsiach i na pakę samochodu zbierał naczynia, książki, elektronikę; wszystko co ludzie wyrzucali z domów, a Włodzimierz uznawał za skarby. Książki czytał, nawet jak ich nie rozumiał. Elektronikę rozkręcał i tak już zostawiał, bo nigdy nie umiał skrócić. Naczynia, wazon i ceramikę po prostu zbierał, bo nie wiedział, co z tym innego robić. „Może się kiedyś przyda, sprzedam albo oddam”, myślał. Gdy miejsca na te znaleźziska brakowało już w domu, zaczął to wszystko składować w trumnach. Zasada była prosta: do buka idą naczynia, wazon i ceramika, w sośnie książki, bo tych najwięcej, a elektronika do dębu. Potem do jesionu zaczął wrzucać jeszcze różne obrazki, ludowe rzeźby, makatki, takie tam dzieła sztuki, a w wiśni znalazły się zabawki dla dzieci, głównie misie i drewniane klocki. Wieczorami siedł do zakładu, zapalał wszystkie światła i się gapił na swoje zbiory. Gdy nie została już żadna pusta trumna, poczuł spokój. Te puste jakoś go zawsze przerażały, jakby gapiły się na niego, jakby czekały. Teraz, wypełnione skarbami, nie robiły już na nim wrażenia. Zaczął lubić przebywać w fabryce. Szedł tam ze swoim codziennym obiadem, czyli kielbasą z cebulką i ziemniakami, jadł, i to wszystko oglądał albo wertował książki. Raz cały miesiąc spędził czytając wielką, grubą książkę o Japonii, a potem napisał haiku:

*Ścięte drzewa
Kiedyś puste trumny
Teraz dom zabawek*

Uznał wówczas, że jest geniuszem i nieodkrytym poetą, więc dobrał się do książek poetyckich i przez rok czytał Miłosza, Szymborską i Herberta. Po-

tem przyszedł czas nawet na Sylwię Plath, ale z tego akurat nic nie rozumiał. Postanowił jednak, że skoro już nie może być właścicielem zakładu ani mężem, to zostanie chociaż poetą. Matka załamywała ręce nad jego nową pasją, ale póki nie zabierał jej Jezusa Chrystusa, to wszystko było dobrze. Starła się wspierać go nawet, kiedy odmówił agrestówki, a zamiast tego na tylnej stronie Teleexpressu napisał:

*Słodki agrest
Kąsają mamine usta
Słowa modlitwy*

Nie mogła jednak już dłużej przymykać oka na jego dziwactwa, kiedy w gazecie gminnej ukazał się jego utwór:

*Malutka wieś
Z pogardą na was patrzy
Wielki Chrystus*

Zebrała więc w swojej chatynce członkinie koła gospodyń wiejskich oraz korpulentną panią Basię, która pracowała na plebanii i była przez to bardzo szanowaną osobą w okolicy, i pod pretekstem zaproszenia syna na jabłecznik, ściągnęła go do siebie. Kiedy Włodzimierz przekroczył próg (wzrok miał rozmarzony, a za uchem ołówek), naskoczyła na niego banda kobiet, które krzyczały jedna przez drugą:

- To nie po chrześcijańsku!
- Hajka się zachciało, a do roboty trzeba.
- Toż to w zasadzie bluźnierstwo!

Tylko pani Basia z plebanii nic nie krzyczała. Siedziała w kącie, piła kawę i przyglądała się z zainteresowaniem Włodzimierzowi.

– Matko...? Nie po chrześcijańsku? A co z jabłecznikiem...? – wydukał mężczyzna, na co odpowiedział mu jazgot.

Kobiety wygrażały mu pięściami i machały numerami gazety gminnej.

– Ach, to. No cóż – odpowiedział smutno Włodzimierz. – Poeta musi opisywać prawdę, co go w oczy kole.

Po czym wyszedł powoli, szurając podeszwami. Przy furtce przyjrzał się wielkiemu Jezusowi, wzruszył ramionami i poszedł.

Kobiety w chatce Babuli Ciżki jeszcze długo syczały za nim i wygrażały. Żeby je uspokoić, Babula musiała napoić je wszystkie agrestówką i pięć razy przyznać, że Włodzimierza faktycznie szatan opętał i że kiedyś to był taki dobry chłop, a teraz to pozał się Boże.

Włodzimierz jednak zupełnie się całą sytuacją nie przejął. Pojechał swoim Fiatem do urzędu, skąd wziął darmowy egzemplarz gazety gminnej. Po powrocie zaparzył czarnej herbaty i z zadowoleniem przyglądał się swojemu wierszowi, pierwszy raz opublikowanemu drukiem w gazecie.

Coś go jednak podkusiło i postanowił przejrzeć gazetkę dalej. Kilka stron później wydrukowano zdjęcie Anulki z tym domokrążcą, Zbigniewem Żmudzikim, jak głosił podpis. Brzuch Anki był pękaty jak piłka do ćwiczeń. Włodzimierz odstawił kubek z herbatą na talerz i zerwał się z krzesła. W jego gardle bardzo zapiekło, jakby zjadł coś bardzo ostrego, jakąś papryczkę chili albo co. Przed oczami wirowały mu mroczki. Włodzimierz poczuł, że musi coś zrobić, cokolwiek, żeby nie zemdleć. Zdjął siekierę ze ściany i rozłupał wszystkie trumny wraz z zawartością, co do jednej. A potem wyszedł na zewnątrz, spojrzął na małe groby na skraju lasu i postanowił, że wyjeżdża stąd, że dłużej tego wszystkiego nie zniesie, tych bab, tej agrestówki, zdjęć Anulki w gazecie, a zwłaszcza tych grobów i trumien. Wrócił do środka, wziął podpałkę do grilla, rozsypał po podłodze i spalił to wszystko w pizdu, ten cały zakład zasrany. A paliło się dobrze, bo i trumny były suche, i książki, a ściany to już w ogóle suche były jak wiór i pożarte przez korniki. Tylko stronę z gazety ze swoim haiku wziął na pamiątkę.

Z ceglanego domu zabrał plecak i kilka koszul. Zapisał na kartce, żeby matka wzięła dom i że jej przekazuje wszystko, bo chociaż był na nią zły, to jednak dobra kobieta była. A potem wyjechał do Warszawy.

W Warszawie od razu go przyjęli z otwartymi ramionami, bo prosty i szczerzy chłop był, a do tego stawał wódkę. Zapraszali na salony, a on publikował w Odrze, Przekroju, a potem to nawet w New York Timesie, jak go przetłumaczyli. Włodzimierz pisał o trumnach, o Jezusie Chrystusie i o ponętnej Basi z plebanii, a ludzie go kupowali, bo było dobre, mocne i prawdziwe, a oni już mieli dosyć tych egzystencjalnych dąsów. Matce za pieniądze z pierwszej książki postawił w ogrodzie Matkę Maryję Zawsze Dziewicę, żeby miała, a sam wieczorami siadał w apartamencie na dwunastym piętrze, jadł kiełbasę z cebulą i ziemniakami, pił wódkę i myślał o tym wszystkim.

II MIEJSCE
NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO
RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

ANDRZEJ CHODACKI

PONARSKA GOLGOTA

CZĘŚĆ 1
KIEJZIK ZŁODZIEJ

Odprawa była krótka, Niemcy spieszyli się gdzieś wyrzynać ludzi, więc szybko przedstawili Litwinom swoje plany. Odprawie przewodniczył Martin Weiss¹. W armii niemieckiej byłby nikim ze swoim podoficerskim stopniem, ale tutaj, wśród Litwinów w Wilnie, był jak Bóg. Litwini bali się go i podziwiali jednocześnie. Był im nawet bliższy do samego Boga, bo był uosobieniem litewskich marzeń o wolności. Z wielką więc gorliwością wykonywali polecenia swojego przełożonego. Dodatkowo sami prześcigali się w ulepszaniu sposobów zaprowadzania litewsko-niemieckiego porządku, bo jako naród byli słabi, więc szukali kogoś mocniejszego. Boga już dawno pominęli w swoich kalkulacjach.

Niemiec referował znudzonym głosem, poprawiając co chwila na nosie okrągłe okulary. Jego twarz mogłaby w innych okolicznościach uchodzić za twarz człowieka łagodnego. Gdyby zdjął czarny mundur, mało kto by się domyślił, że jest bestią w ludzkiej skórze. Drobne chłopięce usta wypowiadały kolejne słowa z lekkością graniczącą z nonszalancją, a każde z tych słów niosło ze sobą wizję śmierci tysięcy niewinnych ludzi.

– W odniesieniu do planowanych przemieszczeń więźniów, zalecam używać terminów „na roboty” oraz „przeniesienie do getta”, by nie wywoływać paniki przed transportem. Dodatkowo ułatwi to przejście cenniejszych rzeczy, które skazani zabiorą ze sobą. Przypominam, że niedopuszczalne jest, aby kto-

1 Martin Weiss ur. 23 lutego 1903 roku w Karlsruhe, zm. 1984 roku – SS-Hauptsturmführer, zbrodniarz niemiecki, zarządca wileńskiego getta, dowódca zbrodniczej litewskiej formacji, Sounderkommando Ypatingasis būrys wraz z którą zaplanował i dokonał ludobójstwa w Ponarach. Wyrokiem z 3 lutego 1950 roku skazano go na karę dożywotniego więzienia. W 1977 roku został w drodze łaski zwolniony z więzienia.

kolwiek oprócz Niemców konfiskował złoto, pieniądze, biżuterię i zegarki. Takie próby będą uznawane za akt wrogi wobec III Rzeszy i karane będą z całą bezwzględnością – Weiss podniósł wzrok znad okularów, spoglądając kolejno na obecnych na odprawie oficerów litewskich. Gdy już się przekonał, że rozumieją, co oznacza „karanie z całą bezwzględnością”, kontynuował:

– Specjalne traktowanie² zastosować w odniesieniu do całych rodzin. W miarę możliwości likwidować osobno mężczyzn, osobno kobiety z dziećmi. Za dużo mieliśmy z tym ambarasu, gdy jakiś polski bandyta³ wpadał na pomysł bronienia swojej rodziny. Sami widzieliście, nie możemy sobie pozwolić na przestoje. Sounderkommando dobrze wykonuje swoją pracę, gdy osiągamy liczbę powyżej dwóch tysięcy wykonanych wyroków dziennie. Pracę rozpoczęliśmy słabo, połowa roku była po prostu nędzna. Dopiero we wrześniu zaczęliśmy wyrabiać normy. Przypominam wszystkim, że mamy w Wilnie około dwieście tysięcy śmierdzącego bydła. A Litwinów jest niecałe trzydzieści tysięcy. Chyba nie chcecie, żeby to bydło weszło wam na głowy? – esesman nie musiał patrzeć w stronę litewskich dowódców. Ich zacięte twarze mówiły same za siebie. To byli ideowcy. Nigdy nie przyznał tego otwarcie, bo w głębi serca pogardzał tymi litewskimi pachółkami, ale oni naprawdę wiedzieli, czego chcą. A Niemcy tylko skierowali ich pragnienia w odpowiednim kierunku. Dobra organizacja niemieckiej maszyny wojennej i nienawiść Litwinów do wszystkich, którzy nie byli Litwinami – to siła bojowa wyższa, niż kilka dywizji pancernych. Przecież bez Litwinów nie mieliby żadnych szans uprzątnąć ten chlew, który śmierdział w Generalnym Komisariacie tak mocno, że czuć go było w pewnie samym Berlinie.

– No – Weiss pokiwał głową z uśmiechem – trzeba tu zrobić porządek. A nie ma lepszego porządku, jak niemiecki porządek.

– Jawohl! – Litwini potwierdzili zgodnie, uśmiechy na ich twarzach były dowodem uznania dla żartu dowódcy. Oficerowie litewskiego wojska płaszczyli się przed sierżantem SS.

Niemiec podjął przerwana wypowiedź.

– Nie przechowywać rejestrów skazanych dłużej niż miesiąc. Nazwiska skazanych usuwać z oficjalnych dokumentów administracyjnych. Nie dopuszczalne jest zawiadamianie rodzin o wykonanych wyrokach, chyba, że ma to służyć działaniom prewencyjnym i odstraszeniu. Otoczony teren leśny wzmocnić drutem kolczastym. Ludność okolicznych miejscowości zawiadamiać, że ukrywanie zbiegłych z Ponar karane będzie śmiercią. Natomiast wydawanie uciekinierów przez miejscowych nagradzać finansowo i przez

2 Specjalne traktowanie – w języku Niemców i Litwinów termin ten oznaczał zabijanie ludzi.

3 Polnische banditen – tak Niemcy nazywali polski ruch oporu.

zwolnienia z kontrybucji. Ludzie muszą wiedzieć, że warto z nami współpracować. Dla potrzeb żołnierzy Sounderkommando sprowadzić kapelańców uświadomionych ideowo i nie wykazujących fanatyzmu religijnego wobec wyższych wartości narodowego socjalizmu III Rzeszy. Utrzymywać w najwyższej tajemnicy zasady działalności Sounderkommando. Ujawnienie tajemnicy służbowej karać w trybie natychmiastowym przez rozstrzelanie. Reszta na następnej odprawie. Czy to wszystko jak dotąd jest jasne? – Weiss potoczył wzrokiem po twarzach podkomendnych.

– Jawohl, her Hauptscharführer! – odpowiedzieli zdecydowanie, w sercach przyznając, że Martin Weiss dobrze przygotował się do odprawy. Z takim dowódcą można wiele zdziałać.

Esesman wstał, a wraz z nim energicznie wyprężyli piersi Litwini. Hitlerowskim gestem pozdrowił swoich sojuszników, ci odpowiedzieli tym samym. Potem skierował się do wyjścia, odprowadzany rozgnionymi spojrzyniami podwładnych. Tak. Litwini i Niemcy wiedzą, co to dbałość o czystość rasy. Wspólnymi siłami oczyszczą kraj z bydła.⁴

– Heil Hitler!

* * *

– Kiejzik, widzenie! – Piotr usłyszał swoje nazwisko i poderwał się z przychy. Serce załomotało mu w piersi.

Może to chłopaki z Ponar? – myśli kotłowały mu się w głowie – a może Wereszko?

Ruszył za strażnikiem, wyszli na korytarz. Szli dość długo, chłopak przyglądał się wysokim, zaokrąglonym sufitem, aż go zemdliło. Stęchłe powietrze i marne jedzenie zrobiły swoje. Tak dawno nie widział słońca. Siedział tu już tydzień i wydawało mu się, że to już miesiąc. Jak znajomi potrzebowali pieniędzy, to wiedzieli, gdzie mieszka Kiejzik. Ale kiedy został aresztowany, zapomnieli o nim, jakby nigdy nie istniał.

Kolejne kraty, zamki, drzwi otwierały się przed nimi, chłopak doszedł do wniosku, że uciec stąd nie sposób. Wreszcie dotarli do sali widzeń. Strażnik pchnął wielkie drzwi, za którymi ukazała się ogromna, jasna sala, pośrodku której stał długi stół. Za tym stołem siedział mężczyzna w czarnym ubra-

4 Od chwili wkroczenia niemieckich wojsk do Litwy w dniu 22.06.1941 roku, Litwini poparli zbrojnie hitlerowców i stali się ich oficjalnymi sojusznikami. Już wcześniej, w listopadzie 1940 roku w Berlinie, litewskie organizacje polityczne skupione w organizacji LAF poparły Hitlera. Późniejsze ludobójstwo w Ponarach było więc wynikiem zaplanowanej akcji politycznej, która przełożyła się na masowe morderstwa cywilów w lesie ponarskim i innych częściach Litwy. Formacja litewskich zabójców została nazwana przez Niemców Sounderkommando.

niu. Piotr poznał go od razu. To był ksiądz Franciszek Bielawski⁵.

– Piotrze – kapłan podniósł się, widząc zbliżającego się mężczyznę.

– Ksiądz? Tutaj? – Kiejzik zaniepokojony stanął obok stołu.

– Słyszałem o twoim aresztowaniu – Bielawski zaczął, wyciągając rękę na powitanie.

– Po co ksiądz przyszedł? – młody mężczyzna spodziewał się raczej odsieczy, a nie księdza, więc w głosie jego wybrzmiała niechęć. Nie próbował nawet tego ukryć.

Kapłan cofnął rękę zawieszoną w powietrzu, zamilkł na chwilę, ale szybko odzyskał równowagę.

– Więźniów pocieszać – odpowiedział z uśmiechem – czyżbyś zapomniał, czego cię uczyłem?

– Ja nie potrzebuję pocieszenia – więzień usiadł zagniewany – tylko żeby mnie ktoś stąd wyciągnął.

Bielawski usiadł także. Przyglądał się chwilę strażnikowi, który śledził ich z pewnej odległości.

– Wiesz, że ja tu kiedyś siedziałem? – zaczął i spojrzał młodzieńcowi prosto w oczy jednym z tych spojrzeń, które ciężko wytrzymać.

– No co ksiądz – Piotr zmieszał się – niby za co?

– A ty za co tu siedzisz? – kapłan nie odpuszczał – bo ja siedziałem za to, że kocham Litwę.

– Zamknęli księdza Polacy? – Kiejzik próbował zmienić temat na mniej niewygodny.

– Tak – odparł Bielawski – ale to nieważne...

– Ważne! – młodzieniec aż podniósł się znad stołu, a widząc ciężki wzrok strażnika, ściszył głos – my im dziś możemy wreszcie odpłacić.

– Mordując i okradając! – chłopak aż skulił się pod ciężarem słów charyzmatycznego księdza.

– Ja nikogo nie zabiłem – bronił się mężczyzna.

– Ale pomagałeś mordować!

– To nie księdza sprawa!

– Mylisz się!

– Spokój tam! – usłyszeli tubalny głos strażnika. Zamilkli, zwarci jeszcze chwilę w niemym boju rozognionych spojrzeń. Ksiądz wziął głębszy oddech

5 Franciszek Bielawski (litewskie Pranas Bielauskas) ur. 1883 roku litewski kapłan katolicki, członek Litewskiego Towarzystwa Naukowego, Prezes Litewskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny oraz Litewskiego Towarzystwa Dobroczynności. Proboszcz Kaplicy Ostrobramskiej w latach 1940-1944 roku. W 1927 roku więziony był przez Polaków w Łukiszkach za działalność wolnościową na rzecz Litwy. Piotr Kiejzik był wychowankiem przytułku, który prowadził ksiądz Bielawski.

i cała złość go opuściła. Wiedział przecież dobrze, jakie zarzuty ma jego dawny podopieczny. Nie chciał jednak zbyt wcześnie wyklądać kart na stół. Liczył na skruczę grzesznika. A jeśli upomnienie ma przynieść pożytek, to upominać trzeba z miłością. Uśmiechnął się więc nieznacznie i zapytał.

– Masz tu wszystko? Nie trzeba ci czegoś?

– Nie – burknął Kiejzik.

– A u spowiedzi dawno byłeś?

– Jak wyjdę, to się wybiorę – młodzieniec trwał w zagniewaniu.

– A jak nie wyjdiesz? – pytanie zawisło w powietrzu niezręcznie.

– Ale... Jak to? – chłopak zaniepokoił się i zaczął znów podnosić głos – nic złego nie zrobiłem.

Nie wiedziałem, że ten towar zarezerwowali Niemcy!

Ksiądz przystawił krzesło bliżej.

– Odsunąć się! – krzyknął do nich strażnik.

– Ale to spowiedź jest – kapłan rozłożył ręce, licząc na zrozumienie. A jeśli nie zrozumienie, to chociaż strach przed konfrontacją z czymś świętym. Nie pomylił się. Demon, który zawładnął sercem Litwina, nie miał zamiaru stawać do konfrontacji z Bogiem. Mężczyzna machnął owłosioną łapą na znak zgody.

– Piotrze – ksiądz położył rękę na ramieniu młodzieńca – nie czekaj z tym...

– Ksiądz coś wie? – Kiejzik ze zdławionym głosem podniósł oczy na kapłana. Ten opuścił głowę. Tak. Wiedział. Ale jak tu powiedzieć chłopcu? Wtedy spowiedź nie byłaby szczerą.

– Czy ty żałujesz tego, co zrobiłeś? – kapłan spróbował innej drogi.

– Niby czego? – chłopak podniósł na niego wystraszone oczy – mam się spowiadać, że pomagałem naszym?

– Współdział w zbrodni też jest zbrodnią – Bielawski złożył ręce do modlitwy.

– I ksiądz to mówi? – obruszył się młodzieniec oskarżycielskim tonem – teraz, kiedy Litwini mogą wreszcie normalnie żyć?

Ksiądz zorientował się, że misja zmierza donikąd. Pokiwał głową, jakby potwierdzając swoje przeczucia, wstał i wyciągnął do niego rękę.

– Będę się modlił za ciebie – próbował odnaleźć wzrok mężczyzny, ale ten unikał kontaktu. Nie odwzajemnił też po raz kolejny tego dnia, gestu pojednania.

– Ja już nie jestem biednym sierotą z przytułku – dodał Kiejzik – poradzę sobie bez modlitw księdza.

Kapłan spochmurniał. Cofnął zawieszoną w powietrzu dłoń i popatrzył na strażnika. Ten ruszył w stronę drzwi, więc kapłan poszedł za nim. Przed wyjściem obejrzał się jeszcze, ale chłopak stał odwrócony tyłem. Wykonał

w powietrzu znak krzyża i ruszył przed strażnikiem, który otworzył przed nim drzwi.

– Ma księdzka gdzieś – strażnik uśmiechał się głupio – to zwykły złodziej, szkoda dla takiego czasu.

Ksiądz chciał odpowiedzieć, ale drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem. Rozejrzał się zagubiony, szukając pomocy, gdy dostrzegł innego strażnika, który zmierzał w jego stronę. Wezwany, podążył za nim do wyjścia na zewnątrz więzienia. Gdy z ulgą opuścił cuchnące zgnilizną mury, poczuł wielką ulgę. Ale coś nie dawało mu dalej spokoju. Przecież nie może tego tak zostawić. Jest jeszcze nadzieja. Dzisiejszą noc spędzi na kolanach przez wizerunkiem Matki Ostrobramskiej. Może Ona wyprosi ratunek dla chłopaka? Choćby na chwilę przed śmiercią.

* * *

Kiejzik był zawiedziony Niemcami. Gdy przegnali Rosjan, chłopak dostrzegł w tym karnym, świetnie zorganizowanym narodzie szansę na nowy porządek w kraju. Tyle razy przyglądał im się przy pracy na Bazie⁶. Ład i pewność decyzji, żadnej fuszerki. Tak uczyli Litwinów od początku. Jeden strzał, jeden trup. Miło było popatrzeć. Dlatego i on chciał do strzelców⁷, ale go nie przyjęli.

Że niby bez rodziny był, wychowany w przytułku na Zarzeczu. Próbował tłumaczyć, że rękę ma pewną, a Polaków i Żydów nienawidzi tak samo, jak każdy porządny Litwin, ale i tak odrzucili jego podanie. Ktoś pewnie doniósł na niego, że załatwił tę drukarnię Ruch w Podbrodziu. Ludzie są zawistni. Nie rezygnował jednak i postanowił pomagać chłopakom na Bazie przy każdej okazji. Niemcy tak naprawdę tylko podpisywali papiery, a litewscy chłopcy odwalali całą ciężką robotę.

Potem ktoś musiał posprzątać ten bajzel. Ludzi przywozili i przyprowadzali od rana do nocy. Zostawały po nich ubrania, walizki, sterty towaru, którego nikt nie chciał zagospodarować. Aż się serce krajało, więc Piotr Kiejzik zrobił po prostu dobry uczynek. Szybko postanowił, że dogada się z dowódcą i odtąd robota szła na trzy zmiany. Chłopak był dumny, że może się przydać. Ubierał się coraz lepiej, kapitał zgromadzony w pieniądzach i naturze rósł

6 Baza w potocznym języku miejscowych to miejsce w Ponarach, 3 kilometry od stacji kolejowej, w którym Rosjanie wykopali przeznaczone do przechowywania zbiorników na paliwo doły głębokości 5-8 metrów. Doły te stały się masowymi grobami ludzi zamordowanych przez Litwinów i Niemców.

7 8 Philipp Krapp ur. 23.05.1908 r. w Oggersheim. Psychopata z SS, lubujący się z rozstrzeliwaniem ludzi z pistoletu maszynowego.

w skrytce w jego domu z dnia na dzień. Już się zaczął zastanawiać nad ożenkiem, gdy doszły go słuchy, że ktoś mu bruździ. Zaczęli krzywo patrzeć na niego, szczególnie okoliczni Polacy. Taki Sakowicz zaczepiał go ciągle, coś mu tam przygadując. Ale Kiejzik nie przejmował się tym. Robił swoje. Organizował wycieczki dla panienek z Wilna, które chciały zobaczyć na własne oczy, jak pracują chłopaki z oddziału. Sprzątał sterty ubrań, pomagał zasypywać doły po skończonej robocie i dbał, żeby chłopcy zawsze mieli świeże dostawy wódki. Bo wódki piło się na Bazie naprawdę dużo. Cóż, taka robota. Na trzeźwo ręka niepewna do strzelania, jak mawiali chłopcy z oddziału. Gdy strzelcy urządzali libacje, on zasypywał zwłoki, uprzątał ubrania, żeby rano mogli spokojnie pracować dalej. Wszystko szło naprawdę dobrze. Kto mógł na niego donieść? Może Wereszko? Czy nie dzielił się z nim sprawiedliwie? Dopóki wynajmował u Wereszki stodołę, dawał mu solidny odsyp i wszystko było jak trzeba. Potem stodoła okazała się za mała, bo od początku września przywozili coraz więcej ludzi na Bazę. Kiejzik musiał szukać czegoś większego, ubrania nie mieściły się już w tej stodole, no i Wereszko pewnie się wściekł. Przyszli po niego ósmego września. Był z nimi Niemiec. Gdyby byli tylko miejscowi, to by się wykupił, ale te niemieckie świny są nieprzekupne. Zabrali go na Łukiszki. Gdy strażnik odprowadził go do celi, zanim otworzył okute żelazem drzwi, zwrócił się do Kiejzika zaufanym tonem:

– Jutro będą cię pytać, gdzie schowałeś pieniądze. Lepiej im powiedz, no bo wiesz...

W tym niedopowiedzeniu wybrzmiała jakaś mroczna groźba. Drzwi zatrzasnęły się za nim, a wraz z nimi zatrzasnęło się całe młode życie chłopaka. Nocą, gdy dookoła chrapali współwięźniowie, przypominał sobie kolejne wydarzenia i zastanawiał się nad nimi. A co, jeśli nikt się za nim nie ujmie? Przecież ten klecha nie powie za nim dobrego słowa po tym, jak go dziś potraktował. Co zrobić? Do kogo się zwrócić o pomoc? Pieniądze miał, tylko nie wiedział dobrze, komu trzeba będzie zapłacić za wolność.

* * *

– Wychodź! – krzyk strażnika wdarł się w ciężką ciszę celi. Ludzie podrywali się z pryczy.

– Zabierać wszystko, przeniesienie na roboty! – Trzech strażników z karabinami weszło do ich celi, kopiąc przy tym nędzne, żelazne łóżka i szturchając tych więźniów, którzy byli bliżej wejścia.

Kiejzik już to kiedyś słyszał. Jakiś niepokój zagnieździł się w jego umyśle, serce zaczęło mu łomotać o wychudzone żebra. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie słyszał te słowa. Usilnie się starał, ale rozgardiasz, który powstał roz-

praszał go i nie pozwalał się skupić. Szybko pakował nędzny dobytek do skórzanej torby i wkrótce stał gotowy do drogi. Jakiś więzień spod okna nie mógł się podnieść. Wczoraj wrócił z przesłuchania strasznie pobity, w nocy jęczał i nie dawał innym spać. Pozostali więźniowie stali już w szeregu przed drzwiami, Kiejzik oglądał się do tyłu, żeby sprawdzić, co będzie z tamtym.

– Wychodzić! – padła komenda i zaczęto wypychać ich na korytarz. Zanim drzwi zamknęły się za nimi usłyszeli strzał. Chłopak wstrząśnięty nagłym impulsem przypominał sobie, gdzie słyszał te słowa. Tak wołali policjanci do ludzi przywożonych na Ponary. „Na roboty”, wszędzie słychać było słowa „Na roboty”.

– Zakładać! – kolejna komenda padła zaraz po tym, jak strażnik wcisnął coś Piotrowi do rąk. Drżącymi rękami rozwinął szare zawiniątko. To była nędzna, poplamiona rdzawo marynarka z wielką, żółtą gwiazdą Dawida na piersi i plecach. Gdy przeczytał napis na gwieździe, pomyślał, że to pomyłka. Podniósł oczy na strażnika, który wyszedł właśnie z celi i z jakimś okropnym błyskiem w oczach patrzył na przebierających się w żydowskie łachy więźniów.

– Na co czekasz, Żydzie?!!! – ryknął na Kiejzika i uderzył go kolbą karabinu w brzuch. Chłopak upadł bez tchu. Chwilę mu zeszło, zanim złapał oddech, na szczęście tamten zajął się właśnie biciem mężczyzny w pierwszym szeregu. Ta chwila wystarczyła, by Piotr Kiejzik stał odziany w podarowane łachmany, patrząc pod nogi, by nie ściągać na siebie gniewu Litwinów.

– Naprzód! – kolejna komenda wybrzmiała jak wystrzał karabinu. Pochód skazańców ruszył posłusznie przed siebie.

CZĘŚĆ 2

ZATŁUC, ZARŻNAĆ, ZASTRZELIĆ

Ciężarówka podskakiwała na wybojach nierównej drogi. Po zimie pozostało wiele dziur na trasie, którą Litwini wozili ludzi na rzeź. Kursowali tym traktem regularnie, już od godziny rannych, bo tyle jeszcze była trzeba było zatłuc, zarżnąć, zastrzelić, że nie można było sobie pozwolić na przestoje. I gdy już się wydawało, że getto zostało oczyszczone, pojawił się jakiś śmieć, który za cenę ratowania swojego życia wskazał kolejne kryjówki tych brudnych szczurów. No i znowu, formowanie brygady, wyłuskiwanie śmierdzieli z kanałów, piwnic, gdzie siedzieli bez światła we własnych odchodach. Zgroza. A jeszcze dochodzili więźniowie wyskakujący z pociągów w pełnym biegu. Wiadomo, że część rozbiła się o drzewa czy skreśliła karki. Ale niektórzy niestety przeżyli te skoki. Litwini musieli ich zbierać na całej trasie Wilno – Ponary, ładować na pakę Arbona i transportować na Bazę. Tam oczywiście roz-

strzał i do dołów. Dziś znaleźli cztery takie głupie baby, które połamały nogi, skacząc z pędzącego pociągu. Władas siedział teraz na nich, a baby jęczały i krzyczały pod nim, gdy samochód podskakiwał na wybojach drogi.

– Stulić mordy, suki! – warknął Litwin – bo zastrzelę jak psy.

Szaulis nie był głupi. Nie zastrzeliliby ich na pace Arbona nawet, gdyby krzyczały na cały głos. Kto by je potem niósł do jamy? Kto by posprzątał tę krwawą jatkę? On nie był głupi. Same dojdą na skraj jamy. Dojdą na swoich połamanych nogach, już on im w tym pomoże kolbą karabinu.

Głupie bydło nie wie, gdzie trzeba zdychać – pomyślał z pogardą o kobietach, na których siedział.

Litwin spojrzął pod nogi. Skórzane buty jednej z dziewczyn zwróciły jego uwagę. Zaczął je zdzierać z niej, nie bacząc, że połamane kończyny wykręcają się nienaturalnie, a ostre odłamy kostne chrupią jeden o drugi. Czy obchodziło to mordercę w jakikolwiek sposób? Przecież i tak suka za chwilę dostanie kulkę. Jedyne, co go martwiło w tym momencie, gdy ciężarówka przyjeżdżała przez otwartą bramę Bazy, to czy wiezione kobiety dojdą tam, gdzie Władas będzie mógł je zastrzelić? Tylko takie dylematy miał Litwin Władas Korsakas popołudniową porą tego pięknego, wiosennego dnia.

CZĘŚĆ 3

ZABAWA DLA WYBRANYCH

– Powiedz Philipp,⁸ czy ty polujesz? – August⁹ spojrzął rozognionymi oczami na kolegę z SS.

– Jasne – wysoki brunet odpowiedział bez namysłu, odrobinę zdziwiony, bo August znał przecież jego upodobania do polowania. Niestety, praca w kantynie wojskowej ciągle mu w tym przeszkadzała.

– Ja myślę o prawdziwym polowaniu – August Hering ściszył głos i rozejrzał się dookoła jakby zdradzał przyjacielowi jakąś tajemnicę – ale zanim ci powiem, obiecaj, że Weiss się nie dowie.

– O czym? – Philipp Krapp zainteresował się wyraźnie, więc jego kolega odciągnął go na bok i zaczął wyjaśniać.

– Mamy tu trzech zaufanych Litwinów – zaczął z tajemniczym uśmiechem – pomagają nam w organizacji polowania, wybierają zwierzynę...

8 August Hering ur. 15.10.1910 r. w Hibarden. Przyczynił się do zamordowania co najmniej 4 tysięcy ludzi w Ponarach. W swoim rozeznaniu wojnę uważał za obrzydliwą. Ale skoro jest już wojna, muszą być i ofiary. I lepiej, że są nimi Żydzi czy Polacy. Z nich i tak nie ma pożytku. A Niemcy to szlachetna rasa, spadkobiercy Świętego Cesarstwa Rzymu.

9 Niemcy próbowali oprzeć swą ideologię rasy panów na rzekomych związkach swego narodu z Cesarstwem Rzymu. Skąd pomysł tworzenia Legionów i orły legionne, jako ich symbole.

- Myślisz o Ponarach? – Krapp mu przerwał, ale kolega złapał go za rękę.
- Trochę ciszej – Hering zachowywał się, jakby sprawa była śliska.
- Tam wystrzały wystraszyły już prawie całą zwierzynę – brunet wciąż nie pojmował sedna sprawy.
- Posłuchaj – przyjaciel spojrzał mu w oczy – my tam polujemy trochę inaczej.
- Jak to inaczej? – Philipp otworzył usta i spojrzał szeroko otwartymi oczami na kolegę. Coś zaczęło mu świtać.
- Tak – Tamten potwierdził – ale obiecałeś, że Weiss się nie dowie.
- Niezręczna cisza zapadła na chwilę, hałas silnika przejeżdżającej ciężarówki zburzył ją bezpowrotnie. Philipp zdążył otrząsnąć się z pierwszego szoku. Był rasowym nazistą, zabił wielu ludzi. Nawet tu, w Ponarach, wiele razy strzelał z automatu kobietom i dzieciom w głowy, bo taki był rozkaz i tego od niego wymagano. Czy był z tego dumny?¹⁰
- Chcesz posłuchać dalej? – August zapalił papierosa i poczęstował kolegę. Przyjęcie papierosa zostało odczytane jako aproбата.
- Skazanych dzielimy na grupy – zaczął Niemiec – jedna duża do odstrzału a druga mała złożona z kilku młodych, sprawnych mężczyzn, ci są na polowanie. Zwierzynę trzymamy do końca zamkniętą, aż Litwini zabiorą pierwszą partię. Mamy stanowisko snajperki na dachu wagonu dla wygodnych i klasyczne polowanie w lesie dla reszty. Wypuszczamy zwierzynę i tropimy aż do płotu.
- Kto o tym wie? – zapytał kompan.
- Razem z tobą tylko kilka osób – odparł Hering – to zabawa dla wybranych.
- A jak Litwini zaczną sypać?
- To skończą jako zwierzyna – w oczach Augusta błysnęły złe ogniki. Uważał Litwinów za pożytecznych idiotów, bez których Niemcy mieliby sporo kłopotu z realizacją rozkazów Fuhrera. Tolerował ich więc, dopóki byli przydatni. Ale gdyby przestali być potrzebni, strzelałby do nich, tak samo jak do tych, których dziś wiozą na Ponary. Litwini to takie samo bydło, tyle że chwilowo przydają się Niemcom.
- Wchodzę – Krapp poczuł, że serce bije mu szybciej – kiedy następne polowanie?
- Dziś – odpowiedział kolega, wskazując pakowanych do ciężarówek ludzi. Patrzyli chwilę, jak Litwini kolbami karabinu zaprowadzają porządek wśród płaczących kobiet. Tak. Obaj zgadzali się w tej sprawie, że Litwini to pożytecz-

10 Niemcy próbowali oprzeć swą ideologię rasy panów na rzekomych związkach swego narodu z Cesarstwem Rzymu. Skąd pomysł tworzenia Legionów i orły legionne, jako ich symbole.

ni idioci. Kiedyś jednak trzeba ich będzie rozwalić na Ponarach, tak jak resztę tego śmiecia.

* * *

Biegł dłuższy czas sam. Co chwila dolatywały do niego pojedyncze bliskie wystrzały, które identyfikował jako część polowania. Były też dalsze, często następujące po sobie, pochodzące pewnie z egzekucji przy dołach. Wypuścili cztery sztuki zwierzyny, ich było czterech. Już przy pociągu upatrzył sobie jednego z nich, dał mu chwilę czasu i gdy chłopak zniknął za linią drzew, ruszył za nim w pogoń. Kanonada z tyłu przy rampie poprzedzona krzykami kobiet i płaczem dzieci nie zainteresowała go zbyt. To pewnie Litwini nie dają sobie rady, głupie było strzelać teraz bez sensu. On czuł tylko zew dzikiej natury, ścisnął w ręce swój automat i biegł w kierunku, na którym ostatni raz widział zwierzynę. Po chwili zatrzymał się i wypatrywał ruchu wśród gęstych zarośli młodnika. Znow pojedynczy strzał gdzieś blisko na kierunku południowym wzdrygnął jego napiętym jak struna ciałem. Wiedział, że na dużej powierzchni przed nim, granicę lasu zamykał płot i zasieki z druku kolczastego. Uciekający nie mieli tej wiedzy.

Krapp chciał ruszyć dalej biegiem, gdy zauważył coś czerwonego za dużą sosną o dwadzieścia kroków z przodu. Podniósł broń, bezgłośnie odbezpieczył i zbliżając się do tego miejsca próbował sobie przypomnieć, czy jego zwierzyna miała na sobie takie ubranie. Ruch za drzewem sprawił, że położył palec na spuście. Znow wystrzał wstrząsnął lasem i jakiś głosik doleciał do niego z tamtego miejsca. Był już o kilka kroków od drzewa, gotowy otworzyć ogień w każdej chwili.

Wreszcie obszedł drzewo z boku i stanął naprzeciwko młodej kobiety, która tuliła na rękach płaczące cicho dziecko. Musiała uciec z transportu przy tym bałaganie, a może była tu już wcześniej? Kobieta zobaczyła Niemca i otworzyła szeroko oczy. Jej wzrok błagał o litość, lecz w oczach Krappa nie znalazła zrozumienia. Szybko pojęła, że jej los jest przesądzony, więc wysunęła do przodu na rękach dziecko, jakby chciała powiedzieć „ulituj się chociaż nad nim”.

Nagle wystrzał wyrwał jej dziecko z rąk i rzucił o pień drzewa. Dziewczyna zaczęła krzyczeć, wtedy Philipp nacisnął spust i seria z bliskiej odległości podziurawiła jej drobne ciało. Z boku zbliżał się jego kolega August Hering.

– Zawahałeś się! – zawołał do Philippa. Krapp stał chwilę na drgającym zwłokami kobiety. Szybko odzyskał równowagę i odwrócił się z uśmiechem do kolegi.

– Co z tamtym? – zapytał go, kiedy ten stanął przy drzewie.

– Dopadłem go pierwszy – Niemiec wyciągnął swoją cygarniczkę – wracamy, polowanie zakończone.

– Będzie następne? – Philipp wyraźnie zapalił się do nowej zabawy.

– Jasne – kolega poklepał go po plecach – za kilka dni. Zwierzyna już dostaje lepsze jedzenie, żeby miała siłę biegać.

Roześmiali się na tę uwagę szczerze i beztrzesko. Taki śmiech jest jak łyk dobrego wina po udanym polowaniu. Dwaj Niemcy wracali powoli w kierunku Bazy. Za godzinę obiad, potem wypiją kilka piw w kasynie. Życie w Generalnym Komisariacie nie jest takie złe. Można przywyknąć.

CZĘŚĆ 4

RĘKA TRUPA

Hubertas¹¹ tłukł deską wystającą z dołu rękę. Początkowo próbował ją skosić kilkoma strzałami z karabinu, ale ręka wznosiła się uparcie ponad dół, za nic mając wysiłki Litwina. Nie uśmiechało mu się iść tam po płytko przysypanych trupach, bo właśnie wyfasował nowe buty po jakimś Żydzie, zastrzelonym tutaj wczoraj. Obawiał się więc, że po kolana wpadnie w śmierdzącą trupań maź. Niemcy mieli przyjechać za godzinę, a tu cholerna ręka wystaje z dołu i nie wiadomo co z nią teraz robić? Wziął więc Hubertas długą deskę i próbował nią sięgnąć odpornej kończyny, raz mu się nawet udało, ale po krótkiej chwili ręka wzniosła się na powrót ponad dołem wypełnionym zwłokami.

Litwin zaczął kłąć, a kłąć umiał, więc przez kilka minut przeklinał Żydów i wszystko co z Żydami związane i ani razu się nie powtórzył. Gdy się zmęczył tym przeklinaniem, zabrał się do roboty i zaczął rzucać łopata ziemię na środek jamy, gdzie wystawała w niebo uprzykrzona ręka. Do chwili przyjazdu następnego transportu, już tylko dłoń wskazywała na to, że pod spodem jest zakopany człowiek. Zakopany wśród tysięcy innych, kobiet, dzieci, starców, zamordowanych przez Litwinów w ostatnich tygodniach.

– Jama się wypełnia – usłyszał głos swojego kamrata Dionizasa – nie syp tyle ziemi.

– No – mruknął Hubertas, nie przerywając pracy.

W tym momencie jedynym jego zmartwieniem była wystająca w niebo ludzka ręka. Przysypie ją, choćby miał machać łopata do wieczora!

11 Hubertas Dienisis pochodził ze Świącian, był wyróżniającym się wśród szaulisów mordercą.

CZĘŚĆ 5 SZAULISI

– Jonas¹²– zwrócił się Litwin do swego kolegi z oddziału – trafisz serią pięć bachorów na raz?

Jonas strzelał w oddziale od początku, był doświadczonym szaulisem, osobiście zabił pewnie z dwa tysiące ludzi. Dlaczego nie miały trafić?

– Założysz się? – podjął wyzwanie z pogardliwym uśmiechem.

– Dziś w jedyńce mamy bachory, jak dojedziemy zobaczymy, jaki z ciebie zuch.

Spojrzeni na siebie niechętnie, ale sięgnęli po szklanki z wódką. Tego nie brakowało nigdy. Mogłoby brakować jedzenia, choć w stołówce na Wileńskiej¹³ jedzenie mieli bardzo dobre. Mogło też brakować ludzi, bo niektórzy uciekali lub rezygnowali. Czasem brakowało też amunicji. Ale wódka była zawsze. Ich sojusznicy Niemcy dbali, by Litwini byli ciągle pijani. Pijanym motłochem łatwiej rządzić. Pijany motłoch nie dyskutuje, nie zasłania się sumieniem. Tak więc w bankardzie¹⁴ za parowozem nazywanym Kriegslok¹⁵, skrzynki z wódką były jak tabernakulum w świątyni. Wódka i amunicja były najważniejsze. Bez nich wspólnota zabójców czułaby się zagubiona. Do wódki się modlili szaulisi. Jej i diabłu oddali swoje dusze.

Dziś w czterdziestu w wagonach ciągnęli na Ponary ponad dwa i pół tysiąca ludzi. Po co? Żeby wszystkich zamordować. Taka robota. Ciężka, ale przecież to praca dla dobra narodu.

W jednym z wagonów, zaraz za bankardem jechało około trzydzieścioro dzieci w wieku pięć do siedmiu lat, bez rodzin.

– Jedziecie do swoich rodziców – szaulisi żartowali na dworcu, gdy wpychali dzieci do wagonu. Nie okłamywali ich, choć radość tych dzieci z rychłego spotkania z matkami i ojcami była przedwczesna. Najpierw będą musiały zmierzyć się z nienawiścią litewskich zbrodniarzy. Były przecież wrogami Litwy, śmiertelnym zagrożeniem dla bytu narodu litewskiego. Dlatego musiały zostać wyróżnione co do jednego. Tak rozkazał Führer, a Litwini kochali Führera. Dziś jednak bardziej niż miłością do Führera, kierowali się strachem przed diabłem¹⁶. Nie tym, który był panem ich czarnych dusz, ale ich dowódcą, któ-

12 Jonas Jaksztas – członek oddziału specjalnego litewskich zabójców, zwanych szaulisami. Pochodził z Szyrwint.

13 Do 1943 roku siedziba litewskich oprawców mieściła się w Wilnie przy ulicy Wileńskiej 12.

14 Bankard – pierwszy wagon za lokomotywą.

15 W tłumaczeniu – lokomotywa wojenna.

16 Szidlauskas – oficer litewski, dowódca szaulisów w latach 1941-1943, nazywany przez podwładnych „jastrzębiem” lub „diabłem”.

ry miał oczy jak jastrząb i coś takiego w sobie, że skóra cierpła na plecach. Na szczęście nie jechał dziś z nimi, dlatego mogli się trochę odprężyć.

Pociąg właśnie zwalniał. Jozuas¹⁷ dowodzący dzisiejszym mordowaniem, założył okrągłą czapkę z trupa czaszką i chrząknął, próbując złapać pion w bujającym się na boki wagonie. Z miejsc wstawali powoli pozostali szaulisi.

– Słuchać mnie! – Krzyknął – nie otwierać wagonów bez rozkazu. Do uciekinierów strzelać tak, żeby nie trafić kolegów. Wszystkich na ziemię, potem partiami do Bazy. Zrozumiano?!

Odpowiedział mu pijacki bełkot.

– Jak się dobrze sprawdzicie, dziś stawiam piwo i panienki po robocie – dodał, a jego czerwona, nalana gęba rozciągnęła się w sprośnym uśmiechu.

Podkomendni ożywili się. Litwini poczuli się zmotywowani do wypełniania swoich obowiązków. Do końca dnia będą gadać o tych panienkach, które im Jozuas z obiecał na Wileńskiej. Podoficer pokiwał głową, obserwując, jak jego podwładni szykują się do pracy. Porządne chłopaki, sami patrioci. Tylko tacy wytrzymywali w oddziale.

Pociąg właśnie stanął, więc Jozuas z Jonasem otworzyli drzwi bankardu i wyszli na zewnątrz. Zapach lasu zniewalał świeżością, słońce próbowało przebić się przez korony wysokich sosen. Dzień zaczynał się rześko. Jakoś ta sceneria nie pasowała do tego, co za chwilę miało się tu wydarzyć. Mężczyźni ruszyli w kierunku pierwszego wagonu. Z domku oddzielonego od nich dwoma torami przebiegowymi, pomachał im dróżnik Jankowski. Spojrzeli na niego bez wyrazu, żaden nie podniósł ręki. Chwilę przyglądali się pociągowi. Schultzwagen¹⁸ pozostał dziś bezużyteczny, polscy i rosyjscy bandyci nie byli ostatnio zbyt aktywni. Odwrócili się, w drugą stronę ciągnęło się czterdzieści wagonów, z których zaczęły dochodzić jęki i płacze.

Taki piękny dzień, a było już go psuje – pomyślał Jozuas i szarpnął rygiel zamykający wagon. Odsunął drzwi na odległość pół metra.

– Pięcioro wylazić! – Krzyknął gniewnie w twarze wychudzonych, przerażonych dzieci. Stały bezradne tuląc się z zimna, gdy Litwin złapał jednego z chłopców za nogę i szarpnął tak, że dziecko przewróciło się na deski wagonu. Podniósł się płacz, jakaś kobieta z wnętrza wagonu zaczęła wołać, żeby zostawili dzieci.

– Zamknąć mordy!!! – Okropny ryk uciszył jazgot wagonu, tylko mniejsze dziewczynki łkały tulone przez starszych chłopców. Litwin wskazał palcem pięciu chłopców i kiwnął ręką, żeby wyszli z wagonu. Gdy dzieci stały już

17 Jozuas Arlauskas – podoficer zawodowy wojska litewskiego, członek oddziału szaulisów.

18 Schultzwagen – wagon ochronny, wypełniony workami z piaskiem, pchany przed lokomotywą na wypadek zaminowania torów.

na trawie przy torowisku, dowodzący transportem wskazał im koniec pociągu i powiedział do nich po litewsku:

– Biegnij.

Chłopcy nie zrozumieli, więc wrzasnął tak przeraźliwie, że ze strachu rzucili się do ucieczki. Jonas podniósł i odbezpieczył swojego Schmeissera¹⁹. Odczekał, aż dzieci dobiegną do trzeciego wagonu i otworzył ogień. Czwórka chłopców padła skoszona podmuchem śmierci, ale jeden biegł dalej, odskoczył w las i wydawało się, że dotrze do linii pierwszych drzew, gdy wystrzał rzucił dzieckiem do przodu w głęboką trawę. Jozuas odejmował swojego Mosina²⁰ od twarzy. Poklepał kolegę po plecach.

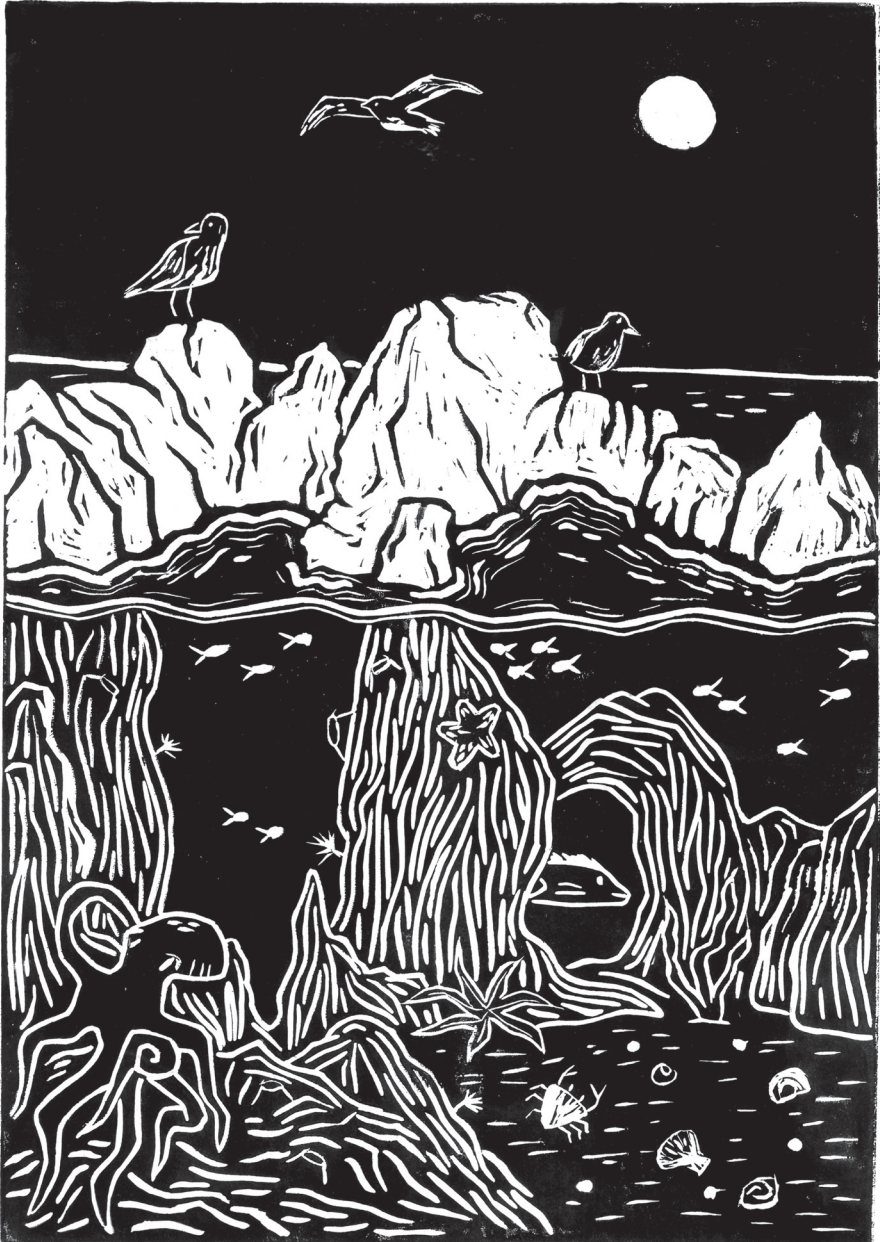
– Jeszcze musisz postrzelać – powiedział do niego i ruszył do wagonu obsługi. Gdy tam dotarł, zaczął wykrzykiwać na wychodzących na zewnątrz szaulisów.

– Do roboty! Jeden do Bazy po ochronę, przygotować broń, ruszać się!

Jonas zarzucił karabin na plecy. Nie odpowiedział na zaczepkę, ale aż zgrzytał zębami ze złości. Zastanawiał się, jak bachor mógł uniknąć trafienia. Jakaś baba wystawiła głowę z wagonu i zaczęła krzyczeć, że zabili dzieci, więc wyciągnął pistolet i strzelił do niej, trafiając prosto w potylicę. Jej bezwładne ciało zwisło przez uchylone drzwi wagonu. Jednak ani to, ani perspektywa zabawy z panienkami wieczorem, nie poprawiły mu już nastroju do końca dnia.

19 Schmeisser – popularny niemiecki pistolet maszynowy MP40 kaliber 9 mm.

20 Mosin – rosyjski karabin pięcioprowadkowy, który był podstawową bronią litewskich zabójców.



linonyt, 2023

Amelia Janiška, 16 lat

NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA DLA TWÓRCY Z ZIEMI LĘBORSKIEJ

MAKSYMILIAN HALAS

APTEKA „POD ORŁEM”

Błysk. Huk. Krew. Chciał uciekać, lecz nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Nagle poczuł gwałtowne szarpnięcie.

– Odjazd! – usłyszał. Ocknął się. Przez chwilę jeszcze zastanawiał się, gdzie jest. Potrzebował chwili, by wróciła mu pełna świadomość. Już sobie przypomniał...

Zatłoczony pociąg mknął przez spustoszony i zamarznięty kraj. Zdecydowaną większość pasażerów stanowili czerwonoarmiści, jadący w sobie tylko znanych kierunkach. Jemu cel podróży też nie był znany. W dokumentach było napisane tylko jedno: Lauenburg in Pommern – Komendantura Miasta. Wyszedł na korytarz i uchylił okno, by otrząsnąć się z resztek wspomnień, które wracały wbrew jego woli. Wciąż widział, jak Rosjanie zabierają mu ojca, oficera Wojska Polskiego. Był rok 1939. Jego matki nie było wtedy w domu. Bardzo szybko komuniści pozbawili ich wszystkiego, co mieli. Matka, Maria, została wywieziona w głąb Niemiec na roboty. On sam trafił natomiast do łagru. Ledwo uszedł z życiem.

Zatrzasnął okno i wrócił do przedziału. Co będzie z nim dalej? Nie wiedział dokładnie, gdzie jedzie i co zastanie na miejscu. Podczas gdy inni pasażerowie śmiali się, rozmawiali, handlowali, on rozmyślał. Od początku wojny los jest mu po raz pierwszy życzliwy. Jeszcze niedawno mógł mieć wszystko. Rodzice posiadali majątek ziemski na Wileńszczyźnie, on skończył studia farmaceutyczne w Warszawie.

– Poproszę bilety do kontroli – odezwał się konduktor. Mężczyzna podał kolejarzowi bilet, otwierając przy tym dokumenty. Nie mógł jeszcze przyzwyczaić się do nowego nazwiska. Z dumnie brzmiącego Eliasza Bielobohowicza stał się prostym i skromnym Bochowakiem. Od kilku dni podróżował z głębin ZSRR do tego zagadkowego Lauenburga.

Schowwał bilet oddany przez kontrolera. Znów przysnął

Obudziły Eliasza pisk hamulców i poruszenie wśród pasażerów. Pociąg wtoczył się na stację. Za oknami młodzieniec zobaczył pusty dworzec i wielki, czarny napis: Lauenburg. Ktoś go przekreślił i koślawo namalował na murze budynku nową nazwę miasta: Lemborg.

– Czyli nie jestem sam. Skoro napis jest polski, to i Polaków na tym końcu świata spotkam – powiedział pod nosem Eliasz i wyszedł na płytę peronu. Poza nim wysiadło tu tylko kilku czerwonoarmistów. Eliasz przeszedł przez nieczynne kasy i jego oczom ukazał się ogromny, wybrukowany plac.

– Gdzie tu teraz jest ta cała komendantura? Pewnie w centrum. Ale gdzie centrum? Zapewne przy ratuszu albo kościele... Pustki takie, że samego diabła się tu nie spotka. Nawet nie ma kogo spytać. Niby tam widać jakieś wieże. Ano spróbujmy... Może dojdziemy.

Tak dyskutując z samym sobą, ruszył w kierunku domniemanego centrum miasteczka. Idąc, jak mu się wydawało, główną arterią miasta, oglądał piękne, kolorowe kamienice, czyste ulice i wystraszonych ludzi, przemykających pod ścianami domów. Na pierwszy rzut oka, miejscowość wydawała się zadbana i niezniszczona. Lecz po idących mieszkańcach widać było, że i tu dotarło okrucieństwo wojny.

Doszedł pod ogromną kamienicę. Wyglądała jak większość budynków na tej ulicy. Wyróżniał ją jeden szczegół: nad drzwiami wisiała tabliczka zrobiona ze starej deski. Na niej czerwienił się napis, wymalowany w dwóch językach – niemieckim i rosyjskim: Komendantura Miasta Lauenburg.

Eliasz wszedł do środka. Klatka schodowa ociekała wręcz zdobieniami: freski, rzeźby, przepiękny, kryształowy żyrandol... Nagle otworzyły się drzwi i ktoś po rosyjsku powiedział:

– Towarzysz komendant prosi!

Eliasz wszedł do mieszkania równie strojnego jak klatka i został skierowany do gabinetu. Zza biurka, podniósł się tęgi major.

– Siadajcie, towarzyszu. Jesteście farmaceutą?

– Tak.

– Jak się nazywacie?

– Eliasz Bochowiak.

– Towarzyszu Bochowiak, obejmiecie opiekę i administrację apteki. Mam nadzieję, że sumiennie wywiążecie się z nowych obowiązków. Posadę macie zagwarantowaną tak długo, jak stacjonować w mieście będzie Armia Czerwona. Czyli do samej śmierci... – powiedział z uśmiechem komendant. – Dostaniecie mieszkanie służbowe, podstawową pensję i przydział kartek żywnościowych. Niestety, zakwaterowani zostaniecie dopiero za kilka tygodni. Do tego czasu sami musicie sobie radzić.

– Ale...

– Towarzyszu Bochowiak! Zwycięska Armia Czerwona ma teraz ważniejsze sprawy. Proszę wyjść i nie zabierać więcej czasu.

Eliasz wyszedł z gabinetu. Błysk. Huk. Krew...

Farmaceute zakręciło się w głowie. Nie znał miasta, był głodny i nie miał gdzie mieszkać. Powoli opuścił budynek. Po drugiej stronie ulicy zobaczył browar, postanowił tam pójść.

W środku było tłoczno i gwarno. Pod ścianą siedzieli żołdacy, od których biła woń alkoholu i potu. Eliasz stanął niezdecydowany. Nagle ktoś go chwycił za ramię. Mężczyzna gwałtownie się odwrócił.

– Czego chcesz?

– Rany boskie! Eliasz! Własnego kuzyna nie poznajesz? A z kim u stryja świnię po podwórku goniełeś?

– Szczepan? Niemożliwe... Skąd ty tu?

– Z frontu, mój drogi. Masz przed sobą sierżanta Armii Czerwonej! Ale jakim cudem ty się tu znalazłeś? Przecież po tym, jak hitlerowcy wywieźli ciotkę Marię, próbowałeś uciec w głąb Związku Radzieckiego i trafiłeś do łagru.

– Dużo by opowiadać. Nawet nie wiesz, Szczepan, jak się cieszę, że cię widzę. Choć jedna znajoma twarz na tym germańskim końcu świata. Ty wiesz, że ja mam być tu aptekarzem?

– Nie gadaj... Toć to wspaniale! Nie dość, że wyszedłeś żywy z obozu, to jeszcze dostałeś posadę. I to jaką!

– Niby tak, ale teraz same problemy... Nie mam mieszkania, głodny jestem jak wielkie nieszczęście i nawet nie wiem, gdzie ta apteka jest.

– Nic się nie martw. Zaraz wszystko załatwimy. Chodź ze mną.

Idąc przez miasto, obaj mężczyźni opowiadali sobie swoje losy. Eliasz prześledził całą wojenną drogę kuzyna, natomiast Szczepan poznał piekło rosyjskiego łagru.

– Cudem tam, kuzyn, przeżyłeś, faktycznie. Ale teraz czeka cię nowe życie. Zobacz, to twoje włości.

Stanęli przed małą, lecz bardzo efektowną kamienicą z kolorowej cegły. Jak nie trudno było się domyślić, znajdowali się na rynku.

– Niestety, sam musisz to wszystko ogarnąć. „Szwab”, do którego wcześniej należała apteka, popełnił samobójstwo. Najpierw zastrzelił żonę i dzieci, a potem sam się powiesił. Mieszkać też będziesz musiał gdzieś indziej, bo pomieszczenia nad lokalem władze miasta zarekwirowały na magazyn „łupów”. Ale zaraz ci to załatwię. Ty na razie wejdź i zaprzyjaźnij się z nowym miejscem.

– „Adler Apotheke”... Ładna nazwa.

– Na nasze to będzie „Apteka Pod Orłem”. Może i dobry pomysł? Zobacz na tego orła nad wejściem.

– Żebyś wiedział, pasowałoby. Ale naprawdę nie wiem, jak ci się odwdzięczyć.

– Daj spokój, trzeba sobie pomagać. Zaraz wracam z mieszkaniem.

Szczepan zniknął w drzwiach sąsiedniego budynku. Już na pierwszy rzut oka Eliasz wiedział, że apteka jest bardzo dobrze wyposażona i nie została jeszcze ogołocona ze wszystkiego, co wartościowe. Po chwili przybiegł kuzyn. Okazało się, że załatwił aptekarzowi pokój w dość bliskiej odległości – znajdował się w potężnej, narożnej kamienicy, należącej do rodziny Zeeck.

– Dobrze ci się będzie tam mieszkać. Starsze małżeństwo i dwudziestoparoletnia dziewczyna. Spokój, ugotowane, posprzątane i tak dalej. Kuchnie mają wyśmienitą. Trzymaj się, Eliasz, bo ja muszę lecieć. Wpadnę do ciebie pojutrze wieczorem, to opowiesz jak pierwsze wrażenia. Serwus!

– Serwus! I jeszcze raz dzięki!

Gdy nadszedł wieczór, Eliasz znalazł już nową aptekę na wylot. Zamykając lokal, patrzył jak Lauenburg kładzie się spać. Nie była to jednak spokojna noc. Gdzieś słyszał śmiechy pijanych żołdaków, gdzieś w pobliżu rozlegał się krzyk dziewczyny, łomotanie do drzwi, wystrzały... Mimo to ludzie próbowali zbudować nową normalność. Wyciągnął karteczkę z wytycznymi od Szczepana i udał się pod wskazany adres. Drzwi nie otworzyły się od razu.

– Pan aptekarz? – ktoś zapytał po niemiecku.

– Tak, proszę się nie obawiać. Przyszedłem przenocować.

Za drzwiami rozległ się szmer, tak jak by ktoś przesuwiał ciężką szafę.

– Proszę wejść, tylko szybko. Mama zostawiła na kuchni dla pana kartofle z obiadu, zaraz odsmażę. Cieszymy się, że będzie pan mieszkał z nami. Rodzice już są starzy i mówią, że pan dla nas będzie gwarancją bezpieczeństwa. W końcu swojego Rosjanie nie będą nachodzić.

Eliasz podziwiał młodą Niemkę krzątającą się po kuchni. Podobała mu się ciemnowłosa, delikatna osoba. W ogóle nie pokrywała się ze stereotypem „grubej Berty”.

– Proszę, życzę smacznego. Naczynia włoży pan do zlewu, jutro rano pozmywam. Spanie ma pan przygotowane: drugi pokój od lewej. Dobrej nocy

– Dobranoc i dziękuję pani bardzo.

Dni miały, Eliasz coraz bardziej oswajał się z nową sytuacją. Zaczęła ona mu się nawet podobać. Po otwarciu apteki okazało się, że w mieście mieszka o wiele więcej Polaków, niż się spodziewał. W większości były to osoby samotne, które do miasta trafiły jako np. pomoc domowa lub siła fizyczna. Niektórzy przed wojną pracowali na nieodległej granicy i po wyzwoleniu postanowili się przeprowadzić do miasta. Były w końcu też rodziny, które już w kilka dni po wkroczeniu Rosjan przyjechały tu budować na nowo swoje życie.

Aptekarzowi coraz bardziej podobała się młoda Klara, dziedziczka fortuny odzieżowej Zeecków, u których z resztą mieszkał. Kiedyś zwierzył się z tego swojemu kuzynowi.

– Jak dla mnie, Eliaszu, to nie ma sensu. Wiem, że ślepa miłość, i tym podobne, ale to bajki dla grzecznych dzieci. Spójrz na to inaczej. Ona jest rodowitą „Niemrą”, a ty Polakiem. Mało tego, teraz podlegasz jeszcze wojsku radzieckiemu i taka sytuacja w ogóle nie wchodzi w grę. Zobacysz z resztą, że nie długo wojna się skończy, Niemcy podpiszą kapitulację, a te ziemie będą w granicach Polski. Nie ma siły, ona wraz z resztą „szwabów” będzie musiała wyjechać.

– Tym razem nic nie rozumiesz. Nie można tylko patrzeć Polak – Niemiec. Jest jeszcze coś ponad narodowość

...

– Jak tam uważasz. Ale mi się wydaje, że i tak nie masz szans.

* * *

– Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie pozwolę, żebyś tak rozporządzał majątkiem rodziców! Rosjanie lada moment opuszczą miasto i wszystko wróci do normy, a my zostaniemy z dziurawymi gaciami. Koniec handlu z tymi zakichanymi czerwonoarmistami! Zapasy spirytusu mają leżeć i czekać. W mieście wszyscy uważają, że alkohol wyprzedaliśmy. I tak ma pozostać!

Starszy z braci, Ludwig, grzmiał tak, że willa przy Paradedstrasse trzęsła się w posadach.

– Ależ oczywiście, drogi Ludwiczku, potulnie skulę ogonek i pójdę do swojego pokoju. Skończyły się te czasy. Matka zmarła już dawno, a ojciec dostał zawału na wieść o wkroczeniu Rosjan. To, że ty jesteś starszy i tobie przypadła gorzelnia, nic nie znaczy. W testamencie jasno stoi, że za dobro zakładu odpowiadamy wspólnie! A w obecnej sytuacji jedyną szansą na przeżycie jest handel z Rosjanami.

– Gerhard, ile ci mam powtarzać? Ja nie chcę dla nas źle, pragnę tylko przeżyć ten jeden, dwa miesiące okupacji i wrócić do normalnego życia. To tak wiele?

– Tak... – wycedził przez zęby młodszy z braci i trzasnął drzwiami. Od początku czuł, że on jest tym drugim, mniej ważnym i gorszym. Pomimo tego, że prawie każde jego życzenie rodzice natychmiast spełniali, miał do nich jeden ogromny żal: wytwórnia oraz składnica alkoholu rodziny Koch trafiła w ręce jego brata. Teraz, dzięki sytuacji panującej w mieście, miał okazję to zmienić. I postanowił, że nie przepuści takiego daru od losu. Ale na to jeszcze przyjdzie czas. Założył płaszcz i nie żegnając się z nikim, wyszedł z domu.

* * *

Klara krzątała się po mieszkaniu. Teraz musiała pracować za troje: sprzątała, prała, gotowała i opiekowała się rodzicami. W trakcie wszystkich tych czynności przewijała się jej przez głowę postać młodego aptekarza, który u nich zamieszkał. Nie mogła przestać o nim myśleć. Był bardzo skrytym człowiekiem i mocno ją intrygował. Rozmyślenia przerwał jej dzwonek do drzwi.

– Dzień dobry, Klaro. Ubieraj się. Pora w końcu na nasz obowiązkowy spacer – wycedził młodzieniec.

– Gerhardzie, jest wojna, po mieście grasują Rosjanie. Naprawdę nie możemy sobie darować tej szopki?

– Jak dla mnie, możemy skończyć to nawet w tej chwili. Tylko pomyśl o swoich biednych rodzicach. Przecież wiesz, jak bardzo im na tym związku zależy.

– Prawda... Swatali nas ze sobą, jak bawiliśmy się jeszcze w piaskownicy. No cóż, chodźmy.

Wyszli z kamienicy. Z daleka było widać, że jest to spotkanie pozbawione jakiegokolwiek głębi. Ale szli razem i to się liczyło.

– Słyszałem, Klaro, że apteka jest już otwarta. Prawda to?

– Tak, Gerhardzie. Nowy farmaceuta mieszka u nas, dopóki nie zostanie mu przydzielone mieszkanie.

– Chodź, w takim razie. Muszę załatwić jedną rzecz.

Gdy Eliaz zobaczył, że progi apteki przekracza jego dobra znajoma, bardzo się ucieszył. Zrzęda mu jednak mina, gdy za dziewczyną, wszedł rosły mężczyzna, z wyglądu przypominający gestapowca.

– Poczekaj chwilę, kochanie. Załatwię tylko sprawę leków.

Podczas gdy „gestapowiec” składał zamówienie, Eliaz nie mógł się skupić. Bezwiednie podawał klientowi to, o co prosił. Gdy para wyszła, nie mógł się pozbierać. Lecz po chwili przyszli kolejni ludzie i chcąc nie chcąc, musiał się zmobilizować. Klara widziała, jak czułe słówka Gerharda wpłynęły na farmaceutę. Postanowiła, że wieczorem musi z nim koniecznie porozmawiać.

* * *

Gerhard wrócił do domu. Nudziły go spacer z Klarą, której nie darzył żadnym uczuciem. Trzymał się jej tylko ze względu na majątek, jaki miał jej przypaść po rodzicach. Lecz teraz miał ważniejsze rzeczy do roboty. Po obiedzie przystąpił do działania.

– Gerhardzie, idę się położyć. Coś mi zalega na żołądku.

– Dobrze, Ludwig. Zaraz do ciebie przyjdę. Będę chciał porozmawiać o dzisiejszym incydencie.

W tym czasie Gerhard odpakował specyfiki kupione w aptece.

– Szczęście, że ten głupi Polaczek był tak zamyślony. Przynajmniej nie zadawał zbędnych pytań. Raz na zawsze rozwiążemy kwestię własności.

Wtem rozległ się głos z pokoju:

– Gerhardzie, przynieś mi, proszę, krople na żołądek.

– Proszę cię bardzo, Ludwigu. Przepraszam za poranny incydent, poniosły mnie nerwy.

– Nie tylko ciebie, bracie. Ja też się zapędziłem. Obiecuję, że od jutra wspólnie będziemy administrować majątkiem po rodzicach.

– Spokojnie, dogadamy się. Na razie weź krople i prześpij się. Do wieczora będzie ci lepiej.

– Dziękują bardzo, Gerhardzie. Dobrze, że tak się ułożyło.

Młodszy z braci czekał z niecierpliwością na rozwój wypadków. Wydawało mu się, że przewidział każdy możliwy scenariusz. Wszystko miało dokładnie zaplanowane. Gdy nadszedł wieczór, powoli otworzył drzwi do pokoju Ludwiga. Jego nadzieje się spełniły: brat nie oddychał. Gerhard zniósł go po schodach i umieścił na wózku. Przykrył ciało kocem i powędrował z nim na dworzec. Z daleka zobaczył rozświetloną bocznicę, na której stały cysterny ze spirytusem. Śmiano się przy nich, grała muzyka i bawiono się w najlepsze. On podszedł do pierwszego lepszego składu towarowego i obojętnie wrzucił tam ciało brata, uprzednio zabierając mu wszelkie dokumenty. – Teraz jedź sobie, Ludwiczku, w świat. Mi już nie będziesz przeszkadzał. Dobrze się z tobą żyło, ale do czasu. Szerokiej drogi!

Gerhard skierował się w kierunku miasta. Idąc na przełaj przez tory, skupiał się na tym, aby nie skrócić nogi. Nagle usłyszał gwizd oraz łomot parowozu. Odwrócił się i ku swemu przerażeniu zobaczył rozpędzoną lokomotywę, jadącą wprost na niego. Nie mógł wykonać żadnego ruchu. Światło było ostatnią rzeczą, którą zobaczył.

W tym samym czasie Rosjanie dostali się do zapasów, składowanych zarówno w wytwórni braci Koch, jak i w gorzelni Johanna Caspra, znajdujących się przy tej samej ulicy. Setki tysięcy litrów czystego spirytusu popłynęły do beczek, a te z kolei powędrowały na rynek. Z kamienic otaczających plac zaczęły wypadać meble, pościelenie i wszystkie inne sprzęty. Dookoła słychać było strzały, piski i krzyki gwałconych kobiet. Pity w olbrzymich ilościach alkoholu, uderzały Rosjanom do głów. Klara przerażona patrzyła na to wszystko z okna. Na środku placu zapłonęło ogromne ognisko. W tym momencie usły-

szła na schodach tupot podkutych butów i nieludzkie wrzaski. Czerwonoarmiści byli w mieszkaniu niżej.

Dziewczyna cicho zeszła po schodach i przez dziurkę od klucza patrzyła na sytuację. Najpierw młoda Niemka, która tam mieszkała, została kilkakrotnie brutalnie zgwałcona, a na końcu jeden z żołdaków ją zastrzelił.

Klara już nie patrzyła, tylko pobiegła do swojego mieszkania. Wiedząc, co ją czeka, postanowiła zadziałać ostatecznie. Starszym rodzicom, którzy nie byli w stanie sprawnie opuścić mieszkania, podała ampułki z cyjankiem, a sama wylała na podłogę naftę z lampy i podpaliła kałużę.

Ogień rozprzestrzenił się bardzo szybko. Z ich kamienicy przeniósł się na kolejne. Również Rosjanie, pijani do nieprzytomności, gdy zobaczyli płomień wydobywający się z jednego z budynków, zaczęli podpalać inne. W konsekwencji płonął cały rynek i przyległe ulice. We wspomnieniach mieszkańców była to jedna z najstraszniejszych nocy.

Następnego dnia pożar przeniósł się w dalsze rejony miasta. Dookoła pustej płyty rynku zalegały zwały gruzów, wypalone mury i tłumy ludzi, lamentujących lub szukających swoich bliskich bądź pozostałości dobytku.

Trafił tu też Szczepan, który ostatnie dni spędził w nieodległej Łebie. Gdy zobaczył, co się stało, pobiegł do apteki, sprawdzić, czy wszystko w porządku z kuzynem. Wpadł i przeciskając się między ludźmi, zapytał:

– Gdzie jest Eliasz?

– Nie ma, drogi panie. Idź i go szukaj teraz po ruinach. Wczoraj na noc wrócił do mieszkania. Ale nikt nie widział, żeby wychodził...

Szczepan nie słuchał dalej, tylko pobiegł na miejsce, gdzie stała dobrze mu znana kamienica. Tam też zobaczył tylko tłące się mury.

– Stój, gdzie lecisz!

– Toć on tam zginie...

– Może pijany, ale powstrzymajcie tego żołdaka! – słychać było głosy z tłumu. Lecz czerwonoarmista nie zwracał na nich uwagi. W głowie miał tylko jedno – znaleźć Eliasza. Wszedł w ruiny. W tym samym momencie jedna ze ścian budynku runęła.

* * *

Drzwi piwnicy otworzyły się. Ktoś wszedł i skierował się do miejsca jej kryjówki. Nie zdążyła umknąć, gdy zasłonka, za którą spędziła kilka ostatnich dni, powędrowała do góry.

– Co ty tu robisz? Jesteś Niemką, tak? Gadaj, coś ty za jedna!

Dziewczyna siedziała skulona, nie odzywając się.

– Mów! Jak mi nie wyjaśnisz, to zaraz zawołam rosyjski patrol i oni z tobą zrobią porządek!

– Nie! Powiem panu... – zrezygnowana Klara usiadła na skrzynce i przez lzy opowiedziała mężczyźnie wszystko: od zaręczyn z Gerhardem, aż po niedawny pożar. Było jej już obojętne, co z nią się stanie.

Właścicielowi piwnicy zrobiło się żal dziewczyny. Był Polakiem, który z Rzeszowszczyzny przyjechał tu do pracy. Jego córka zginęła bez śladu. Dziewczyna, pomimo że brudna i przerażona, trochę mu ją przypominała.

– Posłuchaj, Klaro. Nie chcę dla ciebie źle. Ty straciłaś rodziców, a moja córka zaginęła w 1940. Będę ci teraz ojcem, a ty zostaniesz Waclawą Tarasiuk.

Klara vel Waclawa nic już nie mówiła. Nie była w stanie...

– Chodź, dziewczyno. Umyjesz się, zjesz, a ja ci powiem co i jak.

* * *

Błysk. Huk. Krew. Eliasz znów nie mógł się pozbierać. Godzinę temu wrócił do miasta. Bardzo szybko do niego dotarło, że Klara i Szczepan nie żyją. Siedział teraz pod ścianą i patrzył na ułożone rzędem zwęglone zwłoki. Gdzieś tam była ta dwójka, poza którą nie miał już nikogo. Ludzie mówili, że młoda Zeeckówna zginęła wraz z rodzicami w trakcie pożaru, a Szczepan wszedł w pogorzelnisko i już nie wrócił.

* * *

Wielkanoc 1945 roku była wyjątkowo smutna i przygnębiająca. Po mieście dalej grasowały łupieżcze bandy czerwoarmistów. Eliasz, tak jak garstka innych katolików, poszedł na jedyną mszę tego dnia w kościele św. Jakuba. Jakimś cudem ta świątynia oparła się niszczycielskiej wojnie i wyzwoleniu. Pomimo, że miał zaproszenia od kilku rodzin, z żadnego nie skorzystał. Wciąż był w szoku, który utrzymywał się od zbiorowego pogrzebu wszystkich tych, co zginęli pamiętnej nocy. Od tamtej pory zaniedbywał aptekę, błąkał się bez celu po mieście i zaczął coraz częściej zaglądać do kieliszka. W Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego postanowił, że musi się wybrać gdzieś daleko. Idąc tak przed siebie, minął jakieś potężne zabudowania fabryczne, zniszczony cmentarz i nowe osiedla mieszkaniowe. W końcu dotarł w miejsce, gdzie znalazł się po raz pierwszy. Zaintrygowało go ono, ponieważ na ogrodzonym terenie wybudowano kościół, utwardzono alejki, ale cała reszta była zarosnięta. Z krzaków sterczały resztki krzyży. Widząc, że ktoś wychodzi z bramy, postanowił spytać:

– Panie szanowny, co to za miejsce?

– Cmentarz gruźlików. Niemce chcieli tu przenieść swoich z centrum miasta, ale coś im nie wyszło. Widzi pan, nawet kaplicę pobudowali. Ale to zła ziemia, tu jeszcze z 50 lat minie, zanim kogoś pochowają.

– Dziękuję bardzo za informację.

– Nie ma za co. Idź pan z Bogiem.

Eliasz uchylił furtkę i wszedł między groby. Przedzierając się przez chaszczę, mimochodem czytał nazwiska na krzyżach. W większości były, rzecz jasna, niemieckie. Lecz w pewnym momencie jego uwagę przykuł dość nowy krzyż, stojący w najbardziej zapuszczonym rogu nekropolii.

– Niemożliwe... Maria Bielobohowicz, zmarła 11 listopada 1944 roku...

Błysk. Huk. Krew...

Ocknął się dopiero wieczorem, gdy rosa opadła na trawę. Wychodził z cmentarza na miękkich nogach. Przy bramie stało dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Aptekarz widział w nich na zmianę swoją matkę, ojca, Klarę i Szczepana. Wszystkie wspomnienia znów ożyły.

Gdy doszedł do bramy, ich już nie było.

* * *

Wokół rynku dało się zauważyć ogromne poruszenie. Ludzie odzyskiwali cegłę, uprzętały ulice, rozbierali ruiny. Miasto powoli podnosiło się z wojennych zniszczeń. W wypalonych zgliszczach otwierały się prowizoryczne budy, których zastosowanie i przeznaczenie było znane tylko właścicielowi.

Nadeszła wiosna, wszystko budziło się do życia. Przyroda i miasto budowały się na nowo, tak jak cała reszta kraju. Był rok 1946 i w Lęborku już dawno pojawili się osiedleńcy. Do apteki, noszącej dumną nazwę „Pod Orłem”, weszła żałobnie ubrana kobieta.

– W czym mogę pomóc? – dziewczyna nie odezwała się, tylko zdjęła z twarzy woalkę.

– Niemożliwe... Klara?! Przecież ty nie żyjesz!

– Faktycznie, ma pan rację. Klara Zeeck nie żyje. Ja jestem Wacława. Wacława Tarasiuk.

Eliasz zamilkł. Wiedział, że to niemożliwe, ale serce przecież nie mogło się mylić.

Za oknami właśnie wybiło południe, a na dworzec wtoczył się kolejny pociąg z pionierami.

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

ADELA KUIK-KALINOWSKA

CZĚ TĚ PÒEZJO JES ŻĚWÔ?

Pitôł sã môłi knôp
starëszkã ò krzëwi szëji
i brodze sëwi i dłudzi
czej pòwrozã sznurowelë
na snopë zëtkò
co sã stało z pòezją
a chòcbë bôjkama ò złoti ribce?
Wiater rozrzucôł stronicë ksążków
marmùrowé z rësama
jak drzëń papirusa miãtczé...
lecałë słowa w wiecznym wirze
jak lëstë jeseni òbròcałë sã w tuńcu
leno jedno Słowò bëło ju martwé.
Deszcz wëplókôł jich złoté mëslë
òstałë pùsté bez swòjich mólów
jak wãbórk bez srëbrnégo dna
wòdë ju ùniesc ni mòże.
Ta chwila je wòrt

całégò miecha i pól piniãdzy swiata.
Mòrë òd widu ùcëkałë
a kòrtë Pòezji pòlëlë sã
ò wschòdze słuńca
jesz dim spòlëznã dało sã czëc.
Òna plakała w sobie
wiòldzim òkã słuńca
łzë zmëlë òstatné Słowò
jaczé chcała szëptã wëznac
ò krëjamnoce dëszë
i ùmercym swiata
jaczémù na miono „miec”.
Wiedno teskniã do „bëc”
i skrzydła w lecbie òrzła
prostëja w nòdzeje na wòlnosc
a pùsté môle słowów
òbrodzëlë nowim mionã.

CZŁOWIEK SZUKÔŁ SMIERCĚ

Szukôł smiercë Człowiek
i sã pitôł: gdzie òna? dokądka szła?
slepô i kòszlawô
jak nen pałak òd kòsza jabłków
i robôk wiedno
w chòwónégò sã zabôwiôł
z zôrenkama prôwdë
widzôł jem rôz czôrné kòritarze
dłudzé i krâte – na rãbë wëwróconé
jaczich ani w spikù
ni mógl jem òbmaklac
w cemnicë zecégò
swiãtojańszcë swiécã
i pò krëjomkù
czasã òdmikają wiékò
a złoti skarabeusz kreslił
tajemné hieroglifë na mùmie faraòna
òdmikôł jem dwiërze
i pitôł: czë tam jes?
mòże Kamién cëchi zëmny
wié dokądka Òna ùszła?
przecã nie bël òn niezëwi

swòjã twôrz pòmazôł glëną
strëpiałé gnôtë i bruny mech
co wiedno szukô zecégò
w sëchëch drzewach
przëdzãtëch do zemi òd wiéków
i pòmazonëch krédã licach
w ji gòrejãcym westrzódkù ògnia
tam szukôł smiercë człowiek
i żdôł ji na kùncu swiata
a bëła to pò prôwdze
pierszò strona Knédzi Pòczãtkù.

ROZMÒWA DĚCHA Z CAŁĄ

Pòwiòdelë mądry lédze
jak chtos to widzół
na wiòldzi płòchce nieba
dwie gwiòzdë
sã widã mùjkałë
i òd wiedna
pòwiòdałë so do ùcha
pamiãtòsz czej na zemi
më bëlë białką i chłòpã
terò dopiérze mòzemë bëc razã
na zemi nasze cała bëlë òd nas dalek
dësza zamkłò jak w skòrëpie stãkała
a drëdżi òbjąc ni mògła
ji rãce bëlë za krótczé
jak pierszé łòdżczy bómë
jesz przezrocësté szukałë
parmienia žëcégò
w pierszim słunuszkù
dësza z cała ùlecała
na zelony łãce stojała
chtsos cëchò zaspiewól
jakkbë echò òdbijało sã òd rajù
i jãzëk schòwól sã głãbòk
žebë nie spłòzëc

trzòskã zemi i ji gòdkama –
Éwë co swòjã jasną
kwiatã lnu głòweczka
na remieniu z jabłònczi Adama
ùložëła w wiecznym ždanim
jaczémù na miono grzëch,
wiedno chce w swòje pazurë
chwëcëc chùtkò kaźdigò
szarpie sã człòwiek
bë ùcec grzësznym szëptanióm
za dwierzama swiãtojańszci wid
mòže z nim ùlecã na zelonã łakã
co bëła za naszim òczenkã z pelargòniã.

PERŁA

Sedzała jem na brzegù wiòldzi wòdë
i òbzérała swòjã twòrz w mòdrim szpégłu
mòłi kòłp swięcył sã w słuńcu ji widu
smùlił sã w jednym krãglim òkù
i mërgnął do mie z czichòtã
ta dżibkòsc żęcò w rëbie jaz triskò
krã w sóm westrzòdk nieba.
Rãce mòje głãbòk wslizglë sã
sygnãlë kamieni na dnie
maklałë jich gładczé brzedzi
i dzëwòwałë sa jich miãtkòscë
a pòwiòdałë wiedno że kamienie są cwiardé
a mòwë jich nicht nie rozmieje
prosëła jem bë òdemklë swój westrzòdk.
Chcãłam do niego wlezc
naceszëc sã cëchòtã i ùczëc sã niemëslec
zdżãła jem plecë w pałãg a rãkã w chłãd
bë nalezc rësa pòmizdë jich scanama
serdeczny pòlc ùtknął w ni i krew rozlała sã
jak kropla mléka w balice żęcò
gdze dzurã wënëkò dëszã.
Naròz òdemklë sã dwiërze
cëchò bez trzòskù
na dnie mùszlë
cëchò w wòdze jasniala krãglò
bez skazë i zemszich zmarszczków

jasnò perła
królewò słodczich wòdów.
Pierwi pòwiòdelë ò ni
że w gòrdzelë smòka
je taczi tajemny mòł
a w nim od wieków skriwò sã òna
jasnò perła
piãknò piãknoscë
czëstosc czëstoscë.
A ten chto jã nalëze
nigdë ju smiercë rãczy nie pòdò
wiedno bãdze w mòcë
jak młodi bóg.

NAGRODA ODDZIAŁU ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

DOMINIK „SAMBOR” BĘBAS

„KWIAT ȮD PAPROCĔ¹”

Jakże Bóg był miłościwy dla mieszkańców tej maleńkiej krainy na tle ziemskiego globusa, że w Swjej hojności ogromnej, szcudrze obdarował Kaszubów tymi przyrody cudami. Z wora Swego wyrzucił resztki pozostałe po procesie kreatywnym Świata tworzenia, zanurzył dłoń Swą najświętszą, dno wymacał i niby lelum polelum powyrzuczał, co tam Mu się ostało dla skromnych chłopów. Ach, Demiurg najpiękniejsze drzew rodzaje, wody kolorytu, zwierząt urodzaje umieścił na pasie dzisiejszej Polski centralno-północnej po wybrzeże Helskie. Piąc zaczęły się bory potężne wnoszone na wzgórkach zielonych, okalające kociołki jeziorne, które miejscowi „piekiełkami” zowią – w ciasnym potrzasku powstrzymywane od zła czynienia, nieczne duchy wodne skrywają się w mazi falujących topieli i bezradne wobec potęgi Pana, los swój przeklinają, zarazem plany snując, nadzieje mając płonne na ich zniszczenie pośród mrocznej leśnej głuszy wypełnionej innymi efemerydami dobrymi oraz złymi, gdyż tak jak wszędzie wzdłuż i wszecz w uniwersum, równowaga panować musi, nawet w bajecznej krainie zwanej Kaszubami.

Ziemia pofałdowana mieniąca się złotem przy zabawach w chowanego Słońca naszego; pola hurtem obsiane tatarakiem bielutkim jak śnieżek czy lubinem o podłużnym, jakże wdzięcznym kształcie, noszącym się w płaszczce koloru fioletu, innym razem różu, czerwieni wiśniowej, bladej żółci, bieli do akompaniamentu z tatarakiem – zależnie od jego humoru dnia konkretnego.

Wieśniacy, wzruszeni do cna dobrocią Boską, wznosić ku Jego chwale, jęli krzyże drewniane, upamiętniające męki Jego Syna Jezusa Chrystusa, na rozdrożach dróg rozstawiać, ciągnącymi się między wioskami, a i wędrowiec nie jeden taki obiekt minie w samym sercu tych lasów złożonych z sosen, brzoź czy olch, który magiczną moc posiada, jeno uzależniona od intensywności wiary w jej faktyczne istnienie, wtedy roztacza nad człekiem tarczę ochronną chroniącą od nieszczęść, które na dróżce spaść na niego by mogły; tak więc

1 (kasz.) „Kwiat paproci”

każdy Kaszub znak krzyża wykona, mijając święte rzeźby, figurki, co piękniejsze kapliczki, kościoły, pozdrawiając Wszechmogącego i najświętszą Panię wraz z zastępem aniołów. Wszystkie one chędogo wykonane z różnych rodzajów drewna przez sprawnych stolarzy z czcią dbających o najmniejsze detale lic świętych, by nożykiem przypadkowo nie pogwałcić boskich proporcji. „W to mi graj”, myśli pewnie Stwórca, gdy z góry patrzy na lud tak mu nieźmiernie oddany.

Przemierzał te dzikie ostępy niby w części centralnej, a jakby na skraju świata, pewien wędrowiec oddający się z lubością peregrynacji, tyle cielesnej co duchowej. Miał on jeden cel na mapie wskazany, nieco wartogłowy, zważając na rejony słabo znane i oznakowane nader ubogo; aliści towarzyszką była mu kuraż, a zarazem sowizdrzalstwo, toteż nie myślał cofnąć się przed niczym, choćby diabła ujrzał przed sobą.

Gdzieś na gałęzi wierzbowej kos przycupnął i świergotem się zanosił, niosąc dobrą nowinę – „Właśnie wstał dzień! Wstawać, komu łaski Pańskie są drogie!”.

Kroczył swawolnie ów człowiek przed siebie: przez lasy, polne łąki, wzdłuż błękitnych jezior. Szëmich² uśmiechnięty spokojnie lypał na niego gdzieś w liściach drzew skryty, jak ten wspinał się po nierównościach, pozostawiając po walkach stołomów³ prawieki temu, by następnie z nich opadać; wędrowiec przyjmował na twarz przyjemny letni wietrzyk, nieco wilgotny za sprawą jeziornej bryzy – oddech historii starożytnych kultur ongiś tu bytujących.

Kres dobiegał czerwcowych dni – odźwiernych lata. Wszechobecna zieleni rozpanoszyła się między paletą innych barw roślinności, nad wyraz protekcyjnie manifestując swoją obecność i stopniowo urastającą przewagę. Zaraz macierzanki z pąków wyrosną, wtórować jej będą krwawniki. W zapomnienie odejdą stare bratki, które usychać poczęły, wycisnąwszy wszelkie soki do ubarwienia swych listowii. Kwiaty mijają się i pozdrawiają w lotnej chwili: „Do siego roku!” – rzucają wzruszone; z nadzieją liczą na kolejne dni chwały, młodości; wyczekują kolejnego przełomu ciepłych pór roku, wtem spotkają się na chwilę tak jak teraz, z tym że w zupełnie nowych wcieleniach.

Słońce z nieba coraz ostrzej smaga swymi promieniami wszystko to, co pod nim się znajduje. Pola uprawne zupełnie pożółkły od tych pocisków Heliosowych; czekają teraz w napięciu na czas żniw, który już za pasem. Skryta w nich Òprzëpólnica⁴ zanurzona w kłującej, żytniej kąpieli, już plecie swój wianek na głowę.

Do celu prowadziła niezbyt szeroka, poharatana brudami od kół rolni-

2 kaszubski dobroduszny duch lasów

3 kaszubskie olbrzymy zamieszkałe przed wiekami rejony Kaszub

4 kaszubski duch w postaci kobiety zachęcający żniwiarzy do pracy

czych wozów, błotnista dróżka. Grażyć w niej jedynym sposobem ujrzenia pobliskiej wsi – lepszy taki gościniec niżli bujać się po zaoranych lub obsianych polach kaszubskiego gbura – złość jego byłaby sroga.

Stawiał noga za nogę, donośnie mlaskając, gdy podeszwa napotykała ziemno-wodną papkę. Odbijał się coraz to dalej od ściany lasu za sobą, przed twarzą zaś rozciągał się szeroki polny krajobraz, w co poniekórych miejscach starający się sięgnąć nieba wysokimi włosami na pagórkach. Gdzie okiem rzucić, tam wyrastało jezioro, staw; chłodna ich woda kusiła strudzonych wędrowców do zanurzenia weń umęczonych ciał.

Wzdłuż ścieżki osadzone były po przeciwnych sobie stronach skromne hacjendy wraz ze stodołami i innymi gospodarczymi przybytkami. Przeciętnie nastrojone ucho dosłyszycie beczenie owiec, muczenie krów, gdakanie kur, pisk świń, rzenie konia, szczekanie psa, czy nawet pojedyncze zawołania kaszubskiego chłopca. Tak, wieś żyła swoim własnym życiem, a zagłębiając się z każdym kolejnym metrem w wiejską gehennę, miejski człowiek taki, jak nasz bohater, uśmiechał się błogo, nabierał pokaźne hausty świeżego powietrza, które rozpraszając bakterie wielkomiejskiego zgiełku.

Spacerował wzdłuż wiejskich chat drewnianych, bogobojnych jednostek; fundamentem ich klepisko, składnikiem, którego zwierzęce łajno.

Sunąc przez klimat, tyle biednych, ile szczęśliwych Kaszubów, oddychając tym powietrzem, co oni, na widoku mając pejzaże, z którymi oni się rodzili, szedł dalej bohater, pozdrawiając w duchu farmy chłopskiej, kołodziejską pracownię, stolarskie siadła pracy niestrudzonej normalnego dnia – dzisiaj w śnie zamroczone, przerąbując dalej w bloku wiejskim, nurzając w nim głęboko kozaki.

W palce chwytając krótsze i dłuższe nici ludzkich egzystencji, śliną zwięzając najświeższą historię, starając się zmieścić każdą z osobną przez ucho igielne znaczące obserwowalny teraźniejszości fragment do wglądu dostępny. Nie łatwa jest przeprawa przez echa przeszłości nurtem ku nam sięgające – ręce schować należy w kieszeniach moralnego egocentryzmu, okiełznać ciekawość, wyzbyć się kleptofobii przejawów. Idąc przed siebie, by swoje przeznaczenie wypełnić.

Na skraju królestwa zwierząt i ludzi przycupnęła osamotniona chata ongiś wzniesiona dla wdzydzkiej rodziny; odziana w strój galowy, tętniąca życiem fatamorgana – meta drogi usnutej w bólaczki podróżnicze – uvertura nowej przygody wystawianej w operze życia. Szumem drzew, pluskiem wody jeziornej, językiem zwierzyny hodowlanej doprawionej.

Staął człowiek, z ciszą za pan brat, przed płótnem siedliska z wyrazem ekscytacji i ulgi – doczekał się tego momentu, w końcu. Jął podziwiać majestat kaszubskiej architektury.

Ogrodzenie drewniane oplecione rybackimi więciorkami suszącymi się w Słońcu – najszlachetniejszej postaci w dniu Jego święta. Dał się złapać w owe sidła jak leszcz bohater, rybakiem zaś butwiejąca chałupa łowiąca wrażliwe, artystyczne dusze.

Bezpośrednio za furtką kamienna ścieżka kierowała na wéstôwk⁵ w szczycie domostwa. Był on typu narożnego, na jednym filarze opartym. Przytulona do niego była wysoka olszyna niby stara przyjaciółka odnajdująca w drewnianej konstrukcji swych byłych znajomych w przed-obróbkowej formie. Bo trwale drewno trzymało budowlę w ryzach, dach zaś słomą okryty tak, jak kaszubska tradycja nakazuje. Nie ma tu miejsca na ceglane zachcianki pruskich policjantów – wysłanników piekieł. Atoli do społeczności wdarł się nikiemnie obyczaj budowy chat z wiązarek – poszczególne przedziały szkieletu napełniano gliną; żadna kultura nie jest w stanie uchronić się przed zmianami, choćby symbolicznymi, niewielkiego znaczenia.

Domiszczce było przestronne jak na kaszubskie skromne standardy mieszkania. Belki poziomo kładły się po bocznych ścianach na parterze, robiąc miejsca pojedynczym okienkom. Bale w słupach pionowych umiejscowione w narożnikach, jak Atlas grecki świat, tak one podtrzymywały strop przed zawaleniem.

W części poddasza deski szły pod skosem, ku sobie się stykając, tworząc połąć szeroką, lecz pustą, bez dodatków, pozostawione czyste jak twarz bez wyprysków. Na spiczastym szczycie od lica strony ozdobne pazdury zahaczały o nieboskłon. Za solidność fundamentu wiejskiej chęcze⁶ odpowiadały porozkładane polne kamienie. Przytulne sprawiała wrażenie, urobiona wedle geometrycznej równowagi na wzór zrównoważonego kaszubskiego chłopa.

Siedliszcze obejmowało teren niemały; na prawo od domu kawał ziemistego terenu oddzielał sadybę chlewnej trzody, muciek, koniczków, kózek i kurek. Mieszkały one w wielofunkcyjnym gmachu z drewna wyrąbanego, po sąsiedzku, oddzielone cienkimi ściankami. Snadź żyło im się tam dostatnie. Chlew był przyczepiony do stodoły wypełnionej rolniczymi bronami, pługami, cepami, szuflami czy sieczkami – czekają pochopne ciąć, siekać, zgniatać zboża w czasie żniw, które w zwiastunie Siedmiu Braci Męczeńskich w tym roku mają być wyjątkowo jurne. W małym pomieszczeniu wciśniętym w róg znajdował się domowy warsztat stolarski, gdzie posępne narzędzia, nieociosane jeszcze kawałki drewna umierają, w ten czas święta, z nudów.

Wzrok należy przesunąć teraz na drugą stronę gospodarstwa, tam też mieści się uroczy ogródek kwiatów i warzyw pełen, nad którym piecze trzymając wstrętny strach na wróble z sardonycznym uśmieszkiem na szmacianej buzi.

5 (kasz.) ganek

6 (kasz.) chaty

Lecz, co to? Nagły jakiś skrzek z chmurami płynie. Leci czapla i ogłasza nowinę znaną jedynie prawdziwemu Kaszubowi. Pierzaste, białe do tej pory kłęby skondensowanej pary wodnej, malarz podpisujący się per „Czas”, musnął pędzlem zanurzonym w burej farbie. Obraz stał się pochmurny, nurtu impresjonistycznego. Uczuł lekki niepokój nasz bohater, którego oczami jesteśmy. Szczęśliwie jakby nagle, dreszcz go przeszedł po całym ciele, świat mu zawirował, serce załomotało. Co to za uczucie? Spuścił ślepią, przetarł twarz dłonią gestem otrzeźwienia. Wtem, uszu jego dobiegła zgraja dźwięków przeróżnych – spokojne do tej pory gospodarstwo rolne, jęło ożywać. Z obór męskie głosy gwarą płynęły, trójka dzieci gruzdźela⁷ siedząc w kuckach na trawniku, odziana w szaro-zielone łachmany – dwójka chłopców w filcowych mucach⁸ na głowie, kamizelkach bez guzików, na nich wãpsë⁹ zwisające luzem, niżej buksy i obdarte skòrnie¹⁰ na nogach. Dziewczynka zaś przystrojona w spódnicę, zdobioną w wyblakłe kwieciste wzory szërtuch¹¹, lichesy gorset, białą koszulę, a na nogach wiksówczy¹² z poobcieranymi podeszwami.

Chłopczyk w zamkniętych dłoniach coś trząsał, potem wyrzucił na ubitą ziemię, by ukazać parę guzików. Po chwili nastąpił okrzyk jego radości i żal wylany z ust dziewczynki, po czym zabrała ona wszystkie zawiniątka z ziemi.

– Terô jô!¹³ – rzuciła piskliwie i teraz ona z kolei poczęła trząść guziczkami w dłoniach. Krąg się zataczał. Nasz protagonista zmrużył oczy z lekka zaskoczony, ale i zdał się na cień uśmiechu.

– Mile ce widzã, knôpkù!¹⁴ – zadrżała ziemia od niskiego tembru głosu gospodarza.

Młodzieniec z lekka przestraszony obrócił się w stronę drzwi wejściowych do domu, z których właśnie się wylaniał potężnych rozmiarów gbur kaszubski pełną gębą, ubrany z lekka niechlujnie w wiejski odziewek, ćmiący tabakę z wysokim czarnym jak atrament kapeluszem na czerepie.

– Dobri dzień, ùja!¹⁵ – skłonił głowę chłopak do swego krewnego, unosząc z głowy melonik.

Gospodarz uśmiechnął się, odsłaniając niepełne uzębienie, przez które leso¹⁶ dymało, i czekał na gościa, który to zbliżał się już do męskiego uścisku.

7 (kasz.) gnieździła się

8 „muca” - kaszubska czapka

9 (kasz.) dłuższy kaftan kaszubski

10 (kasz.) męskie buty kaszubskie

11 (kasz.) damskie zapaski kaszubskie

12 (kasz.) damskie pantofle kaszubskie

13 (kasz.) „Teraz ja!”

14 (kasz.) „Miło cię widzieć, chłopcze!”

15 (kasz.) „Miło cię widzieć, chłopcze!”

16 (kasz.) tabaka

– Cëż je czëc kòl mëmë?¹⁷ – spytał, obejmując siostrzeńca u progu wystawka pod dachem. Tak się poczęła tworzyć rozmowa dwóch dawno się niewidzących członków rodziny. Chłopak opowiedział, jak tam żyje on i jego matka – siostra gbur, która niegdyś wyprowadziła się z Wdzydz do Bydgoszczy w poszukiwaniu lepszego życia. Ożenku tam zaznała z polskim kucharzem, który los im nagotował wcale nie gorszy.

– Bromberg ju nie je dlô ciebie?¹⁸ – dopytywał z nutką pogardy wuj. Po ukończonych studiach młody mężczyzna postanowił wrócić w rodzinne strony i popracować jako nauczyciel w tutejszej szkółce, szkoląc się w fachu i nabierając doświadczenia niezbędnego w znalezieniu pracy na takim stanowisku w większym mieście. Tu ma liczną rodzinę, jakieś kontakty, mieszkanie zapewnione, a i tęskno mu było do ziem, których nigdy nie poczuł którymkolwiek ze zmysłów, gdyż narodzony już był w bydgoskim szpitalu, aliści uczony przez matkę kaszubskiego języka i obyczajów.

Gbur kaszubski z miłą chęcią wysłuchiwał zdań składanych w kaszubską całość przez mieszczaucha.

– Jo ce zaprôszóm do kôtë. Gòśc doma, Bóg doma!¹⁹ – zakończył dialog gospodarz, odstępując na bok chłopakowi i zachęcając go gestem ręki rozłożonej do progów przekroczenia.

Wlazł do bëna²⁰, sień się roztworzyła, w niej pod ścianą kufer potężny, wiadra, beczki, kurtki rozwieszona, chodaki ułożone, na hakach zaś zawieszona łodygi kalmusu, co dobrodziejstwo zapewniają w noc świętą dzisiejszą.

Chłopak rozpląszczył się, zaciągnął powietrzem chaty wyrobionej wewnątrz gliną i wapnem bieloną, sufitowe belki przyciemnione dymu śwędem, a odbijał się od nich rybny aromat niby fëszmark²¹.

Cała naprzód ruszył dalej, z prawej mijając kuchnię z piecem pokaznym, nad którym pani domu, słusznych rozmiarów kobieta, pochylała się i pilnowała, by pyрки nie wykipiwały, by marenki gotowane, smażone, do diôbla²² nie zwiały, by ten z powrotem je zabrał z dala od jezior kaszubskich, hen w dal od rybackich sieci. Zazdrościły one leszczom złą sławą ochrzczone – tym samym spokojem namaszczone. Nastąpiło uprzejme przywitanie z ciotką; ta ujrawszy młodego dżentelmena u progu, zgrubiałe dłonie wytarła w fartuch, i uśmiech na spracowanej buzi mu posłała. Świeżo upieczony absolwent bydgoskiej uczelni ujrawszy karznie²³ wciąż rybami napełnione, współczuć po-

17 (kasz.) „Co słyhać u mamy?”

18 (kasz.) „Bydgoszcz już nie dla ciebie?”

19 (kasz.) „Zapraszam cię do chaty. Gość w dom, Bóg w dom!”

20 (kasz.) do środka

21 (kasz.) rynek rybny

22 (kasz.) do diabła

23 (kasz.) kosze na ryby

czął kobiecie. „Naczwarzęc²⁴ się musi” – pomyślał i pomoc swą skromną zaoferował, ta zaś jak prawdziwa pani domu podziękowała uprzejmie, nie chcąc między garami robić niepotrzebnego zamętu dodatkową parą rąk do pracy.

Skierował swoje kroki do izby głównej, mijając komin nieśmiało schowany w cieniu, a tak przyjemnie ciepło dający; lecz ogień dziś z domu nie wydostanie się na wskroś – byle nieszczęścia uniknąć. Dwa okna nieduże wlewały światło południowe do wnętrza, barw różnorodnych za sprawą kolorowych szklanych obrazków świętych na nich zawieszonych, rzucające cień Maryi i Chrystusa na grzeszne serca. Pod ścianami kilka łózek ścielonych, obok szafa, półki, bieliźniarka – nic specjalnego przyozdobione szczególnymi gałęziami klonu – siostrami dobrodziejstwa. Z porozwieszanych zdjęć dookoła spoglądali przodkowie rodzimej ziemi. Na samym środku przy okrągłym stoliku stojącym na kilim, pracowała młoda kobieta, białka²⁵ syna gburskiego, która skupiona była na wiciu wianka z bylicy na głowę dla córeczki gbur, którą hołubiła wielce. Jednocześnie w kołysce tuż przy niej niemrawe dźwięki wydawał bobas, synek owej kobieciny, do którego ta zaglądała co chwila. Kolejna zapracowana wiejska pani.

Zrazu nie zauważyła przybyłego gościa, tak zafrasowana gdzieś myślami, atoli po ujrzeniu zdała się na uśmiech serdeczny i lakoniczne „Witôj”²⁶ rzućcie.

Po chwili jak na zawołanie przybyli synowie w liczbie dwóch: pierworodny już dorosły i młodszy dojrzewający młokos. Zmachani, upoceni spod gorzących promieni słońca przebijającym granatowe chmurzyska uciekli, umorusani błockiem jak pieczelnicy, ojca o wykonanych zadaniach zawiadamiający.

– Ôjczce, më dalë sã najesc swinióm²⁷ – odezwał się starszy. Tatki²⁸ z aprobatą pokiwał głową.

– Krziż swiāti na dwierzach jem nacéchòwòl²⁹ – dodał dumny nastolatek, że bydlę i trzodę od upiorów nocy świętojańskiej ustrzegł.

Również zadowolony ojczulek poklepał syna po barku, lecz na twarzy jego grubymi brudami rysowała się niepewność...

I oni powitali swego kuzyna uściskiem chłopskim, brudząc przy tym chcąc nie chcąc miejski strój młodzieńca, na co tylko śmiechem gromkim zareagowali.

24 (kasz.) „Napracować się musi!”

25 (kasz.) żona

26 (kasz.) „Witaj”

27 (kasz.) „Ojczce, nakarmiliśmy świnie”

28 (kasz.) „Tata”

29 (kasz.) „Namalowałem na drzwiach święty krzyż”

– Wczora òni złowielë bëlną szczëkã³⁰ – spod pieca mëma³¹ zawołała, demonstrując gościowi dorodną rybę wyjętą spod stosu drobniejszych okoni. Słowa jej podziwem były przyprószone nad synowskimi łepetynami. Ułović w waton³² tuż przed północą przy świetle ogniów³³ tak piękną sztukę – ach!

„Zdrzëta le!”³⁴ – zarzucił nasz bohater, radość czując w sercu jakąś olbrzymią, gdy scenkę tę oglądał. Kuzyni naprężali dumnie piersi, choć twarz młodszego nieco niepokojem jakby wzgardzona...

– Jaż³⁵ do nocë łowilë. Przed swiãtã òni sã werobilë³⁶ – rzucił radośnie gbur, piwa nalewając do ceramicznych kufli – Dzãka Bògù...³⁷ – dodał po cichu, wyraźnie z ulgą. Aliści ta nie pojawiała się na bratnich licach, gdy rzucili sobie kątem oka spojrzenie po tych słowach ojcowskich.

Po wypiciu przez każdego z domowników po kilka łyków browaru ciżba się rozgadała na dobre, usadowiwszy się na drewnianych krzesłach, poza gbur-em-ojcem, który wygodnie w fotelu niby tronie rozłożony, w pełnej swobodzie tematy rozpoczynał i sędziował ich przebiegowi.

Parę przekleństw posypało się na Prusaków, na szëpò³⁸, że ci swoją kulturę chcą w Kaszubów wtłoczyć, nie ważąc na piękną, wiekową tradycję ludu kaszubskiego. Polaków większą darząc sympatią, lecz za złe mieli im traktowanie Kaszuba jako ułomka. Gbur na los rybaka też narzekał, że niełatwy to zarobek. Aż nieborak w żłobie zachlipał złością i smutkiem wzbudzony. Zwierzęta wtórowały mu dzikimi odgłosami z dworu. Wszystko po to, by zaraz potem Boga wychwalać za to, co im podarował i wtem wróciła pogoda ducha.

Rozmowy zeszyły na temat rolnej pracy czekającej na wznowienie tuż po świętej nocy.

– „Na Jana zabierzta sã do sana!”³⁹ – cytowała przysłowie synowa gburka przy stole, na myśli mając sianokosy zbliżające się wielką parą.

Z pomieszczenia obok nasz bohater dosłyszał nagle cichy śpiew męskim, zachrypniętym głosem noszonym. Rozmowy jakby ucichły wokół niego, a uszy i oczy wycelowały w odrzwia w węgle izby. Pytające spojrzenie posłał po domownikach, gbur natychmiast pochwycił jego zainteresowanie wymieszane z zakłopotaniem.

30 (kasz.) „Złowili oni wczoraj ładnego szczupaka”

31 (kasz.) mama

32 rodzaj sieci rybackiej

33 ogni

34 (kasz.) „Patrzcie, no!”

35 (kasz.) Aż

36 (kasz.) „Wyrobili się przed świętem”

37 (kasz.) „Dzięki Bogu...”

38 (kasz.) policja pruska

39 (kasz.) „Na Jana zabierzcie się do siana!”

– Ópa⁴⁰ – skwitował dochodzące szepty z izdebki obok. – Stòri grzib...⁴¹ – dodał, lecz z uśmiechem, zaznaczając tym samym, iż deputant wcale nie jest dla nich problemem, po czym kiwnął głową na gościa, wstał i wprowadził do podłużnego pokoju.

„O mój Boże!” – wykrzyknął polską mową młody absolwent. Na krześle w hafty kaszubskie siedział Prawdziwy Kaszuba wśród kaszubskich symboli. Był to bardzo stary człowiek, zgrãbòłali⁴² mnóstwem przeżyć. Na siwej głowie miał czarny kapelusz przepasany szeroką, czerwoną tasiemką, a węń wetknięte kwiaty. Na nosie binokle dodające intelektu na zmurszałej twarzy ze zmarszczkami jakby wyrzeźbionymi przez samego Michała Anioła. Kos ozdobiona kokardką czerwoną z pięknymi mankietami w zielone liście ozdobne, bùksë⁴³ na nogach jaśniały bielą wręcz anielską przez światło na nie padające. Na to liwk⁴⁴ mieniący się niby stukaratowym złotem z motywami zwierzęcymi wyszytymi szmaragdami, a na tym wãps soczyście niebieski jakby zapożyczył kolor od tutejszych jezior, z motywami ryb naniesionymi, guziki lśniące jak spojrzenie Jezusowe. Stopy z łydkami chronione najczarniejszymi skòrzniami mocnymi, ze skóry samego Cerbera zrobionymi, gdy to udało się uciec śmierci niechybnej w swym długim życiu przynajmniej raz jeden.

Słońce w tym momencie jakby pojaśniało zza jego pleców i rzuciło poświatę na niego boską. Oświecona istota, czyste piękno.

Jego kwatera pełna była plecionek i tradycyjnych wzorów. Malunki na ścianie, pościel, kształtny obrus na biurku, opona okno przesłaniająca, dywanik podległy jego wielkości na podłodze rozłożony, meble z wrytymi kaszubskimi hieroglifami – majestat najwyższej miary.

Aż serce zamarło w młodzieńcu, słowa wydobyć nie mógł. Stary Kaszub uniósł wzrok znad książki, którą czytał, spojrział na niego spod szkieł, smutno się uśmiechnął, lekko skłonił głowę i jał kontynuować pieśń wybornym brzmieniem swego głosu, najczystszym akcentem języka ojczystego:

„... Wez chùsteczkã, wëtrżë òczka,
Nie płacz tak wiele.
Bò mie Pón Bóg dzys naznaczył,
Z jinym wieselë”⁴⁵

40 (kasz.) „Dziadek”

41 (kasz.) „Stary grzyb...”

42 (kasz.) zgrabiwały ze starości

43 (kasz.) męskie spodnie kaszubskie

44 (kasz.) męska kamizelka kaszubska

45 (kasz.) „... Weż chusteczkę, wytrzyj oczka, nie płacz tak wiele. Bo mnie Pan Bóg dziś zaznaczył, a innym wesele”

Niebo zadrżało, cichymi grzmotami poruszone.

Oćma powoli roztaczała się nad kaszubskimi rozdrożami. Dżdżący deszcz wraz z groźnymi pomrukami niebios był jak larum dla nieznanymi mrocznych sił drzemających w przyrodzie oskarżanych przez wiejskich ludzi za przeróżne łotrostwa, których kontrolować nie są oni w stanie. Niemożliwością jest bowiem okiełznanie wszechobecnej mocy natury.

Bohater kroczył wieczorną porą do budynku szkoły, w której będzie miał wlewać wiedzę w małe, chłonne główki dziecięce. Jego mieszkanie było przybudówką do tegoż budynku edukacyjnego. Zmierzał tam zmęczony, lekko wstawiony, fantazjując już jedynie o miękkim łóżku, o chwili prywatności, momencie odpoczynku przed magiczną nocą. Parę godzin dla siebie. Szedł brukowaną dróżką wzdłuż dojrzewających pól, przerywanych hałaśliwym gospodarstwem, gdzie królowała zabawa pomniejszych rozmiarów przed crème de la crème dzisiejszego dnia. Śmiech, żarty, dopięcia na ostatni guzik na kilka chwil przed nocą prawdy i kłamstwa. Zagłuszane przez dudnienia z góry, odgradzane od spacerowicza formującą się wodną ścianą z deszczu powstającej. Młodzieniec otworzył parasol z małymi problemami – niełatwe to zadanie w stanie nietrzeźwości wśród wypełniającej świat stopniowej ciemności.

Wtem wyłuskał wzrokiem ludzką postać idącą naprzeciw niego. Niewysoki był to typ, lekko zgarbiony, wzrok kierując w ziemię. Coś jakby gestykował. Rozmawiał ze sobą. Deszcz nie przeszkadzał mu a nic – parasol bądź inne wierzchnie okrycie pozostawił w domu. Młodego mężczyznę przeszył lekki dreszcz na widok tego szczególnego nieznanego. Zdawał się w całości czernią o ludzkich konturach jedynie. Im bliżej niego się znajdował, tym donośniejszy stukot jego obuwia się stawał. Musiał nosić chyba metalowe okucia na koturnach lub mieć do nich doczepione końskie podkowy. Uśmiechnął się nasz bohater, uważając to za niezwykle zabawną myśl. Jednak, gdy dzieliło ich już tylko parę kroków, zrzęda mu mina, gdy dosłyszał słowa wymruczane rzez niego pod nosem głosem o barwie nieludzkiej:

– Òbarchniałi lédze... Òni ceszą sã, òni sã smiejã⁴⁶ – odcharknął. – Czej demónë ë złé dëchë zbliżają sã...⁴⁷

Oddalił się, pozostawiając za sobą odór palacza. Przerażliwy chłód przeszył młodzieńca doszczętnie, że ten aż zadrżał. Obejrzał się prędko za siebie, chcąc przyjrzeć się tajemniczemu jegomościowi i... pobladł kompletnie, w uszach mu zaszumiało, głowa kołatała się jak na tytce, gdy przeszył dziwnego człowieka od stóp do głów. Otóż mógłby przysiąc, że nie miał on normalnych butów, których byłby się spodziewał, a miast nich kopyta jak u kozy... postukujące diabelskie werble...

46 (kasz.) „Głupi ludzie... Oni cieszą się, śmieją”

47 (kasz.) „Podczas gdy złe duchy i demony się zbliżają...”

Rzucił się biegiem, byle być bliżej domu, za sobą słysząc wciąż nie ludzki tętent „ludzkich” stóp...

Czernidłem pomalowane zostało płótno firmamentu, na nim kłębiące się różnorakie szarawe formy przesłaniające gwiazdy – żaden człowiek tej swojej, nocy dzisiejszej, nie ujrzy. Złowrogie grzmienie nie ustępowało w troposferze. Przyjemny chłodek owiewał spracowane ciała człecze.

Na wzgórzu najwyższym w okolicy wyrastającym spośród lasów, nad wodą usadowionym, tłumnie zebrała się gromada wieśniaków, upstrzona jak pawie, w oczekiwaniu na rozpoczęcie uroczystości.

Na samym środku, w bliskiej od siebie odległości rozmieszczono trzy stopy z jałowca, a pod nimi duże, smołą oblane beczki. Wokół nich ludźmi wezbrało jak morską falą uderzającą o plażę i w miejscu wstrzymaną w momencie najwyższej wysokości sięgającej, chwili największego napięcia.

Podniecenie ogarniające zgromadzonych urągało przyzwoitości. Nerwowe podskakiwanie, szemrania skryte w mroku, poczerwienione twarze, niecierpliwie spojrzenia wbite w przodownika wydarzenia. Kuternogi Stary Kaszuba posztykuta⁴⁸ o laskę wsparty, niosąc rozpaloną głównię zeszlóroczną i punkt dwunasta wieczór, rzucił na środkowy stos, wieńcem oznaczony, który zaraz ogniem się zajął.

„Gòro!”⁴⁹ w myślach hurmem rzuciło ludu zgromadzenie.

– Bracô ë sostrë!⁵⁰ – ryknął melodyjnym głosem starzec. Przemowę krótką wygłosił, z poważną miną reprimendę puścił w obieg, by świętej nocy dzisiejszej, gdy dobro ze złem walkę stacza, za żadne skarby świata, nie oglądać się za siebie, gdy przeraźliwe głosy wołać będą po nas, ni w konwersacji z nimi nie wchodzić.

Każdy jeden uczył wtedy, jak krople potu spływają po nim intensywniej niż przedtem. Chwila ciszy przemożnej poprzedzona modlitwą do Anioła Stróża.

– Më rozpòczynómë!⁵¹ – cisnął w eter orędownik. W odpowiedzi okrzyk czystej ekstazy i w mig podpalone zostały dwa kolejne stopy. Pojaśniało jak za dnia. – Wëznac swòje grzechë przed òdżinã!⁵²

Nasz bohater z przejęciem lustrował wydarzenia dziejące się przed jego oczyma.

Jacyś mężczyźni nieśli związaną kanię, przewiazaną u szyi czerwona wstążką. Ptak niemałych rozmiarów, dumnie znosił żywot więźnia. Jak

48 pokuśtykał

49 (kasz.) „Ogień!”

50 (kasz.) „Bracia i siostry!”

51 (kasz.) „Rozpoczynamy!”

52 (kasz.) „Wyznać swoje grzechy przed ogniem!”

się okazało, jego tortura zaraz się zakończyć miała – gdy łeb jego przyłożono do pnia, a nad nią ostrze siekiery oddzieliło go od tułowia. Trysnęła krew soczyście, głowa złego ptaszyska potoczyła się po ziemi, pozostawiając na trawie krwistą smugę. Przestroga dla każdego złoczyńcy w społeczności wiejskiej jest aż nadto wymowna. Ludzie ślinę przełknęli przez grdyki i po kolei wyznawać jęli swoje winy, i prosząc święty ogień o ich odkupienie. Następowala scena pojednania, łez i uśmiechów.

Potem kamień z serca spadł każdemu z głośnym wzdychaniem. Młody Bydgoszczanin, wciąż z boku stojąc, tylko się przyglądał tej maskaradzie, oniemiały.

Napięcie trochę zelzało, ludzie odegnali nieprzyjemne myśli, dzieci z pamięci wyrzuciły herodową scenę ściecia.

– Wiónczi do wòdë!⁵³ – rzucił ktoś z tłumu. Zaraz zawtórowali mu pozostali i solennie udano się nad jezioro z nastoletnimi dziewczętami przed sobą, by te wraz z nurtem wody puściły swe nakrycia głowy. Ciemna tafla cieczy przyjęła kolorowe listowia i pchnęła je we wszystkie strony świata. Teraz czekać na dobrego, przystojnego pana, który jedną wyłowi i w ożenek pójdzie z jego właścicielką.

Dużo teraz było śmiechów, muzyki i hulanek. Młodzież tańczyła w świetle ogniska tańce ludowe, muzykanci dogrywali im skoczną muzykę. Ludzie szukają kwiata òd paprocë⁵⁴, marzeń zapewnień symbolu. Przyniesiono jałdo, głównie ryby świętością okraszone, a ich aromatyczne wonie przyciągały do siebie głodomorów. Strawę popijano winem, piwem, wodą – wedle upodobania.

Ależ zabawa, ileż żartów się sypało zewsząd! Ludzie szli kąpać się w jeziorze lub ino nogi zanurzyć – dzisiaj wody są zabezpieczone przed złymi duchami, które z ludzi topielców chcą uczynić, toteż starszyzna pozwalała pofolgować sobie młodzieży. A żywo!

Młody nauczyciel, posilając się jedzeniem, kątem oka ujrzał widok dziwny – jakiś wisus zziąjany przybiegł spod wzniesienia silnie poruszony, niepanujący nad emocjami, prawdziwie maligny dowód, pomyśleć by można. Krzyczał coś, ledwo pojedyncze słowa przebijając przez ogłuszającą wrzawę świętowania dźwięków. Nadstawił ucha nasz bohater i dziwy słyszał z ust jego płynące. Coś, że wiedźmę widział, czarownicę przebrzydłą, która na rozstaju dróg ochronne zapory pokonała i na miotle wzbijała się hen nad wdziedzkie pola. Krew mu zmroziło od tych słów zasłyszanych, nic więcej nie usłyszał, a sama postać młodzika gdzieś zaginęła w kaskadzie odgłosów.

53 (kasz.) „Wianki na wodę!”

54 (kasz.) „szukają kwiatu paproci”

Ogień dogasał, skoczni chłopcy przeskakiwali ponad nim, wiwatując próby udane. Opici chłopcy już szykowali się do przeprawy bydła przez dogasające węgle. Wszystko w myśl dobrobytu przejścia.

Na koniec na stół wniesiono pięknego szczupaka, z zarumienioną skórką na wygląd bursztynu i z parującym, pysznie pachnącym, delikatnym mięskiem pod nią. Stary Kaszuba jako najświetniejszy ze wszystkich począł go kroić i pierwszy kęs kosztować.

– Aaaargh! – przeraźliwy wrzask z gardła tego starowiny wypełził nagle. Chwytał się za gardło, chybotał w konwulsjach, chcąc złapać oddech. Ktoś się nad nim pochylił, ktoś chciał mu pomóc, ale na nic to. Najpiękniejszy Kaszuba, podpora tradycji, skonał na oczach wszelkiej ludności.

Ludzie wpatrywali się w ten obraz poruszeni, zszokowani. Zesztywniali kompletnie, nie ruszyli się ni w przód, ni назад. Wszystko przycichło, słychać było tylko strzelanie ognistych iskier.

Zaniósł się skądś demoniczny rechot, piekielne bębny zagrały marsza, skrzek oblubienic Szatana. Rozpętała się burza, pioruny waliły jak oszalałe, a wraz z nimi wściekła ulewa przygasiła resztki tłących się żagwi. Guślarz jaczis⁵⁵ przejął kontrolę nad sytuacją. Ludzie niewzruszeni patrzyli tępo w ich poległego przodownika, podczas gdy otaczała ich wielokroć przerażających dźwięków powodujących z szu krwawienie, zmysłów postradanie. Jedyne, kto zareagował to nasz bohater przerażony do cna. Zakrył on uszy, krzyk wydobył niesłyszalny i patrzył ze zgrozą na ludność zebraną.

Ciała ich nieruchome zaczęły nagle sinieć, następnie gnić. Strzępy mięsa odpadały od kości; piękne ubrania bordowo zbrudzone. Zostały już teraz same szkielety, które upadły bez ładu. Jedyne żywym pozostał młody bohater, którego twarz oglądamy – niedowierzania i trwogi odbicie. Upadł on na kolana, chwycił się za głowę.

Z kości nieszczęśników pozostał już tylko pył, który nagły powiew wiatru fuknął w jego stronę. Zakrył buzią, zaniósł się płaczem, przyjmując na siebie uderzenia sproszkowanych ludzkich zwłok.

Teodora dosłyszała łagodny świergot ptaków, wyrwawszy ją z sideł lęku. Odsoniła twarz, przetarła oczy. Blask słońca padał na zmarszałe, pokryte mchem nagrobki pośród drzew. Kresy życia człowieczego. Pospacerowała wzdłuż nich w stronę siedliska.

Peregrynacja skończyła się, gdy na powrót pojawiła się przed kaszubską checzą. Przed jej rozwalinami. Drewno wétrępiało⁵⁶. Gospodarstwo ofiarą abnegacji. Historia skryta pośród wysokich trawsk, narzędzia przyciszone warstwą rdzy. Przygnębiający to widok.

55 jakiś

56 spróchniało od środka

Jej zapłakane oblicze, pustką wypełnione wnętrze, ujrzało nagle roślinę o niebiańsko pięknym kwiecie – to paproci kwiat. Nie dowierzając, pochyliła się nad nim i pochwyciła w palce delikatne płatki. „To tylko duchowa przestojka⁵⁷”, zrozumiała.

Uśmiechnęła się i zalała rzewnymi łzami – ze szczęścia.

WYRÓŻNIENIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

HANNA MAKURAT-SNUZIK

MÓDLĘTWA CZASU

Czas dërżi ze slédny wòjnë
òcalałi. Skrzëpi w mòdłach
nadleczbòwëch. Na Westerplatte
chcòłbë przezëc, ale bez pamiãcë!
Cobë le mù delë swiãti spòkój!
Czas wiérny je, łaskawie
mòdli sã ò gwòsny pòpët – pòdòż.
Dobri je. Kò dobrze. Wdarzi so,
czej strzélełë mù w twòrz.
Czej nadaremno dzegwiony
przez jawernotã. Wzëwóny
i wëzëwóny bezmionowò. Lecy.
Dzys ekspòrtowóny, impòrtowóny.
Pò rozprawach z pùstima
dëszama ni mòże ùwierzëc
w mechaniznã zëcò pò nie-
smiertelnoscë. Pòwtòrzò to kòzdi
lëdzczy zëgar, kùrantë
carillonë. Chùrà historiã
dwigają ùszło-przińdnã.
Lecy pòsobnò słuńcowò gòdzëna.
Wanoga na blëższã i dalszã
półkulã zëcò spisywónò
w kółkò bez kuńca òd królów
stòrëch nòzwëskã Galla Anonima.

co pòrëszają sã w klinie.
Melancholiò wëplëwò z nostalgiją
i baladã – intonowónò w słojach.
Przekrwionë biórka z dãbinë
zslë zófë w skórach wenecczych
cerplëwie klãbiã trwałë krëjamnotë
zamklë w sobie, długò
i pòmalë mólczącë w swim sãkù.
Mòdlã sã do dãbòwëch dëchów
w jaczi le swiata rëmii:
Cobë ju nicht nie krzikòł w pùstce!

ROMANTICZNÉ ZAGRZEBIWANIÉ SĀ W LEGEŃDACH

Gra wòlë, prôwdë – nieprôwdë. Wëcélowónô w swiat i przedswiat,
bë zebrac jednostczy cwëkù. Scalëc całosc i różnicã. Rozproszoné
na midzë-pòlach. Bez znakù w pòłowie drodзи historiô mùszi òdplënąc
karnòlã legeŃdë. Romanticzno zagrzebac sã w cele ksãżëca.
Chòdzy ò to, bë pamiãtac ò tëch, chtërny wësłë z twòrzã.
Chòdzy ò to, bë zabòczëc ò tëch, chtërny twòrz wënieslë.
Legëndarny wnet wiedno zëją w zadziniony krëjamnoce. We-
strzódkã nierozrzeszony do kùńca historii. W eliptyczny jawernoce
z ùkrëtã jintencją mùszã òsãc czedës w brãwãdokrãgach
pòchòwóny nie dëcht bãdãcë sobã. Jakò mònumentalnô zamkłosc
bajaniów Ò gòspòdze Jeruzalem. Ò swiãti stëdzence. Ò rãce pòdniosli
z grobù. Ò kamieniu majãcym sztòłt brócëka chleba.
A mòże to wszëtò równo. Jak gòdajã. Mòże miticzné bëtë sã leno
kùltowim wëdanim lepszégò. Swiata w jinterwałach czasu.
A mòże martwã legeŃdã, chtërna wnetka wiedno bãdze zëc.

WYRÓŻNIENIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

MATEUSZ KLEBBA

TRZĘGARDZKÔ GÔRĄCZKA
CYKIEL

HÙMBÔCZI Ò 12 ÒB NOC

Wieczórno SKM-ka
jadã
za mnã stôrô Òléwa
widzã mòderné daczì
co Gierk stôwiôł na Żabiance

merkóm
w nocny zmarachùce
bùgrëjącégò w głowie wina
móm grënce
tak bòlesno je czëjã
nie pùdã dali
jak piãc złotych w taszë
nie pòlecã wëzi
jak dwa zera na kònce
w bankù
co wëbrëlë mie gò tatk z mëmkã
je to ju czas do nich zazwònic
plótno w taszë
pòzeżarlë hùmbôczi

* * *

Letkò w kòzdim nòrce
zmarachòwónégò dzestką cała
pòstãpnã stacjã mijóm
je to ju czas?

Lëczbë jistny mają sztòłt

Mie je wszëtkò równo
szëkóm le za jednym
òna mò pòzamklé òczë
to nie mdze drãdzé

* * *

biòlé òkrãdzi
trzëfarwné wielenórtë
dëbeltné trzënórtë
ò dwanòsti
òb noc
mijóm jeden za drëdzim
rozeblòkóm
sopòcczi wiater
letëchno ùdristniwò
mòje chãcë
ti nocë
czëjã trzëgradzci feber
wielefarwny spòdkòwiznë
òstatnégò stalatégò

* * *

Nie mdã rechòwòł
banów co òdjachałë
nie mdã zdòł
za nòdzejã co nie przinãdze
biòlé lãpë gdińszi hòwindzi
bliza dówajãcò czer
na àutostradã
lelekòwatëch zwësków
krótczi nocë
pòrénkòwé gwizdzë westrzódka smroku
zblãkóné mësłë
biédnégò beńla
w ùberze òb droga dodóm

WYDAWCA

Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
e-mail: mbp@biblioteka.lebork.pl
tel. 59 8622307

GRAFIKI:

Amelia Jasińska

ISBN 978-83-60731-44-4

WYDANO NAKŁADEM

Miasta Lęborka
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

DRUK

Drukarnia BOXPOL Słupsk
ul. Wiejska 28
76-200 Słupsk
tel. 59 842 43 71
e-mail: druk@boxpol.pl
boxpol.pl